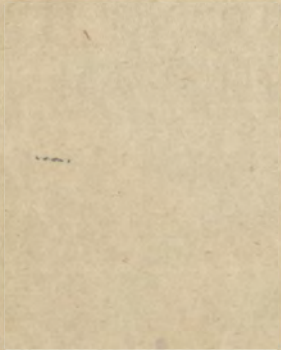


~~1231~~

PIERWSZE WIADOMOŚCI
Z EKONOMJI POLITYCZNEJ

121

1921



4684 ~~1221~~

KAROL GIDE
PROFESOR COLLÈGE DE FRANCE

PIERWSZE WIADOMOŚCI
Z EKONOMJI
POLITYCZNEJ

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA I WYDAWCY
PRZEŁOŻYŁ
STANISŁAW POSNER
SENATOR RZPLITEJ

M-120914

~~2963~~



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

~~394a~~



4684

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.” — NEW-YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.” — KATOWICE

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

1925

Zakłady Graficzne Straszewiczów, Warszawa, Leszno 112.

ROZDZIAŁ I.

POTRZEBY I PRACA.

Jak tytuł wskazuje, książeczka niniejsza nie ma innej pretensji jak tylko tę, aby dać czytelnikowi pierwsze wiadomości z dziedziny ekonomji politycznej. Wiadomości te nie są wcale trudne do zdobycia, być może nawet, że są od innych łatwiejsze, dlatego, że zjawiska ekonomiczne dotyczą nas bardzo blisko i spotykamy się z nimi na każdym kroku w życiu codziennem. Nie należy jednak rozumieć tej łatwości w sposób przesadny. Słowa nasze nie oznaczają bynajmniej, że ekonomja polityczna jest nauką, przy której nie przysiaduje się fałd, albowiem zjawiska ekonomiczne mają tak długą za sobą historję, tak przez długi rozwój historyczny stały się skomplikowane, że dzisiaj bywa bardzo trudno odnaleźć, odszukać początek długiej nici, która zaczęła się w odległej przeszłości, a która dzisiaj nam się jawi w postaci zjawiska ekonomicznego, którego istotę chcielibyśmy poznać. Rzecz prosta, że najlepszą metodą poznawania takich zjawisk jest cofanie się do najstarszych faz, do początków tych zjawisk ekonomicznych.

Zazwyczaj badacze ekonomiczni, pragnąc udostępnić wiadomości o tem, co to jest ekonomja po-

lityczna, opowiadają historję Robinsona. Wprawdzie w późniejszym wieku z uśmiechem wspominamy historję Robinsona Cruoe i może nam się wydawać dziwnem, że poważni badacze, pragnąc udostępnić nam poznanie historii rozwoju ekonomicznego, opowiadają przedziwną historję Robinsona, to jednak nie ulega wątpliwości, że opowieść ta zastępuje nam doświadczenie, które oddaje tak wielkie usługi w laboratorium przyrodniczem, a którego nie znają nauki społeczne. W historii Robinsona mamy do czynienia z doświadczeniem, co prawda nierzeczywistem, ale czerpanem z wyobraźni. Bierzymy człowieka, osadzamy go na samotnej wyspie i przyglądamy się, co pocnie sam jeden i jak się zachowa. Ale, jeżeli chodzi o najstarsze początki zjawisk ekonomicznych, wyspa Robinsona niewiele nas nauczy, albowiem Robinson nie był bynajmniej człowiekiem pierwotnym. Przyniósł z sobą na wyspę wszystkie zdobyte w jego czasie wiadomości, duży rozwój umysłowy, a nawet wiele rzeczywistego bogactwa, które wyratował, jako rozbitek.

Być może, że dzieci, małe dzieci, mogłyby nas w tym względzie więcej nauczyć. Psychologia dziecięca mogłaby być bardzo pożyteczna dla wyjaśnienia pewnych zjawisk ekonomicznych, i sądzę, że uczyniono źle, zaniedbując studia nad nią pod tym punktem widzenia. Jednak i małe dziecko znajduje się w warunkach równie sztucznych jak Robinson, tylko naopak. Można bowiem powiedzieć, że dziecko, to pasorzyt, dodajmy cudowny i prześliczny paso-

rzyt, ale znajdujący się w sytuacji, którą ten brzydki wyraz wyraża; dziecko wszystko otrzymuje, a nic wzamian nie daje, jak tylko swój uśmiech, albo pocałunki, co przecież ze stanowiska ekonomicznego jest co najmniej nie wystarczające.

Szukajmy dalej: są przecież zwierzęta. Wśród zwierząt znajdziemy pierwsze zaczątki zjawisk ekonomicznych, znajdziemy nawet prawa ekonomiczne, które rządzą ludźmi, ile że ekonomja polityczna sięga korzeniami w biologję, jest przecie jednym z niezliczonych rozdziałów historii przyrodzonej, historii Człowieka.

Potrzeby. Wszystkie zwierzęta mają potrzeby, oto gdzie znajduje się punkt wyjścia całej ekonomji politycznej. Potrzeby te u zwierząt nie są zbyt liczne. Sprowadzają się właściwie do dwóch: do potrzeby odżywiania się, która wypełnia prawie całe ich życie, a także do potrzeby, o której nie należy zapominać — do potrzeby mieszkania. Chrystus mówił niegdyś o lisach, które mają nory, i o ptakach, które mają gniazda. Niema zwierzęcia, któreby nie posiadało mieszkania, ale takiego, które odpowiada jego potrzebom.

Nie bądźmy dumni: te same potrzeby wypełniają najwięcej miejsca w życiu człowieka. Weźmy budżet rodziny robotniczej, zauważymy, że w budżecie tym wydatki na żywność stanowią około $\frac{2}{3}$ całego budżetu. Wydatek na mieszkanie zawierał przed wojną 15 do 16% tego budżetu. Jeżeli dodamy obie te pozycje, otrzymamy 80, albo może

i nawet 90% budżetu klasy robotniczej. Cóż rodzinom tym pozostaje na zaspokojenie innych potrzeb, które podnoszą człowieka ponad poziom, na którym znajduje się zwierzę?

Rzecz prosta, że zwierzęta nie znają potrzeby odziewania się. W tym względzie natura daje im wszystko, czego potrzebują; natura odziewa je tak wspaniale, że my ludzie (a w szczególności kobiety) żyjemy z łachmanów świata zwierzęcego, ze skór zwierząt, z ich wełny, z ich futra, z ich piór i z ich starych zębów (które nazywamy kością słoniową), wreszcie ze wszystkiego, co nosimy w ciągu całego życia.

Jednak, jeżeli przyjrzymy się bliżej tym sprawom, zauważymy, że nawet zwierzęta posiadają pewne potrzeby estetyczne, istnieją bowiem niektóre gatunki, które znajdują szczególne upodobanie w przedmiotach świecących. Istnieje gatunek przepiórki azjatyckiej, która ozdabia drzewa, znajdujące się w pobliżu jej gniazda, najróżniejszymi szkiełkami, które tylko może znaleźć. I co jest najbardziej godne uwagi, to to, że potrzeba zdobienia siebie i swego otoczenia, potrzeba, która zdawałoby się rodzi się w ostatnim okresie rozwoju w historii rodzaju ludzkiego, rodzi się zaraz po potrzebie odżywiania i mieszkania, zanim jeszcze urodzi się potrzeba ubierania się, albowiem u ludów dzikich, zanim jeszcze zaczną myśleć o ubraniu, co więcej, w czasach, kiedy zgoła jeszcze nie myślą o ubiorze i chodzą nędzy, bardzo żywa jest potrzeba nadawania ciału cech pięknych, w rozumieniu oczywiście tych dzikusów.

Tyle o potrzebach zwierząt: jakkolwiek wypełniają całe ich życie, są bardzo ograniczone. Zali należy stąd wyciągnąć wniosek, że i człowiek powinien ograniczyć potrzeby swoje do najmniejszych rozmiarów? Należy ostrzec przed pewnym nieporozumieniem. „Życie skromne“ jest nietylko ideałem moralnym, jest oraz, w szczególności w naszych czasach, obowiązkiem gospodarczym. Ale strzeżmy się widzieć w tym nakazie dnia dzisiejszego radę, aby wrócić do życia zwierzęcego, sprowadzając potrzeby nasze wyłącznie tylko do żywności i mieszkania. Życ „skromnie“ nie znaczy to wcale życie wypełnić troską o stół i mieszkanie. Zgoła przeciwnie: znaczy to sprowadzić do minimum potrzeby zwierzęce, w szczególności pierwszą, i zastąpić ją potrzebami porządku wyższego, umysłowego, czy moralnego, które nie wymagają wielkich wydatków, ani wielkiego zbytku, które mogą lepiej wypełnić życie. Życie „skromne“ nie oznacza bynajmniej tępienia zbytku; należy tylko zastąpić zbytek materialny zbytkiem duchowym, a to już w żadnym nie znajduje się związku z ekonomją zwierzęcą.

Praca. — Przypatrzmy się, jak zwierzęta czynią zadosyć potrzebom swoim. Czy przez pracę? Nie wszystkie, nie można tego powiedzieć o zwierzętach trawożernych; chodzić po łące i skubać trawę, nie znaczy pracować. Jednak można powiedzieć, że zwierzęta, żywione ziarnem, albo korzonkami, zmuszone poszukiwać pożywienia wszędzie w szerokim promieniu, pracują. W każdym razie

należy tak powiedzieć o gatunkach mięsożernych: te pracują w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Całe ich życie wypełnione jest polowaniem, albo łowieniem ryb, co przecie jest pracą i, co więcej, pracą wymagającą olbrzymiego wysiłku fizycznego. I rodzaj ludzki w ciągu długich tysiącioleci nie uprawiał innej pracy, jak tylko poszukiwanie korzeni, jak polowanie i rybołówstwo. Jeżeli przejdziemy od żywności do mieszkania, zauważymy, że potrzeba ta wymaga w świecie zwierzęcym nietylko pracy, ale co więcej pewnej bardzo różnorodnej organizacji rzemiosłowej. Ptak jest pod tym względem daleko więcej rozwinięty niż zwierzęta ssące. Wszyscy wiemy, z jaką sztuką i z jaką miłością ptak buduje gniazdo swoje. Są nawet ptaki, które, budując gniazdo, zszywają liście, duże i obfite liście ze sobą. W szczególności w cudownym świecie owadów podziwiać można różnorodność specjalizacji rzemieślniczej: jedne żyją w drzewie i toczą je, inne w ziemi, inne w kamieniach; istnieją robaki „grabarze“ (nekrofory). Pewien gatunek pszczół ściele gniazdo swoje, układając części kwiatów. Niema wielkiej różnicy między rzemiosłami zwierząt i ludzi, chyba różnicy tej szukać będziemy w tem, że gatunek zwierzęcy uprawia jedno tylko rzemiosło każdy, podczas gdy człowiek uprawia je wszystkie jednocześnie.

Jednak między pracą zwierząt i ludzi, zdaje się, istnieje inna jeszcze różnica i ta druga jest tak bardzo istotna, że można wogóle zapytać, zali pierw-

szy rodzaj wysiłku zasługuje wogóle na nazwę pracy? Cechą charakterystyczną bowiem pracy ludzkiej był zawsze od najdawniejszych czasów wysiłek, cierpienie: „będziesz pracował w pocie czoła twego“ — mówi Biblia. Zali można twierdzić, że zwierzęta pracują w pocie czoła? Zdanie to wydaje się nierozumnym nie tylko w sensie obrazu poetyckiego, ale przede wszystkim w sensie realnym. Działanie zwierząt nie wydaje się wcale obowiązkiem, jak praca człowieka, wysiłek zwierząt wydaje się raczej funkcją przyrodzoną. Wydaje się, że ptak buduje gniazdo swoje tak samo jak śpiewa, i że pszczoła wydaje z siebie miód zupełnie tak samo, jak wydaje, fruując, pewne dobrze znane dźwięki. Nie wydaje nam się, aby co rano mówiła do siebie i do sióstr swoich: „weźmy się do pracy codziennej“! Praca pszczoł wydaje się pewnym rodzajem ćwiczenia, pewnym sposobem życia. Taką miała być wedle opowieści biblijnej praca człowieka przed jego upadkiem—praca człowieka w raju, gdzie jedyną jego pracą było obrywanie owoców, rosnących na drzewach; wydaje się, że zwierzęta, które nigdy nie były objęte opowieścią o upadku biblijnym człowieka, zachowały po dziś dzień boski przywilej pracy radosnej. Synowie Adama przywilej ten stracili, i nie bez słuszności określono człowieka, jako zwierzę leniwe. Człowiek odpowiada na to, że zwierzęta są leniwe. Gdyby to było prawdą w stosunku do zwierząt domowych byłoby to do wytłumaczenia, ile że są one tylko niewolnikami, obowiązanyymi do wykonywania pew-

nej pracy niewolnej. Ale i wobec tych słowo takie byłoby niesprawiedliwością. Pomyślmy tylko, ile energii traci pies na polowaniu, uganiając się cały dzień za zwierzyną, którą wystawia dla myśliwego, pomyślmy tylko o wołu pracującym w jarzmie, albo o koniu, pracującym w chomacie. Jakże byłby szczęśliwym pracobiorcą, gdyby rozporządzał dzisiaj najemnikami, którzyby nie byli bardziej leniwi, niż ci wierni towarzysze pracy!

Co dotyczy zwierząt, przebywających na wolności, jest prawdą, że o ile uczynią zadosyć najprostszym potrzebom swoim, nie czują żadnej potrzeby, aby wysilać się ponad to. Odpoczywają. Nie znaczy to jednak, aby były leniwe. Znaczy to tylko, że czynią to tylko, co jest dla nich konieczne.

Należałoby wyjaśnić, dlaczego praca człowieka nie jest tak samo łatwa i radosna dla niego, jak praca zwierzęcia? Dlaczego praca człowieka nosi zawsze charakter kary, na którą człowiek został skazany? Nie trudno znaleźć na pytanie to odpowiedź, jeżeli się zważy na historję pracy ludzkiej; praca w swoim rozwoju historycznym była pracą niewolnika, później pracą poddanego, a nawet i w czasach nowszych, aż do dni naszych, pracą najemnika. Zważmy, że i praca wolna nie budziła w człowieku uczuć radosnych. Samo urządzenie niewolnictwa zdaje się najlepiej o tem świadczyć. Starożytni, którzy wynaleźli pracę niewolniczą, byli sami ludźmi wolnymi; wpadli na pomysł zaprzęgnięcia do pracy dla nich innych ludzi, dowód to najlepszy,

że mieli obrzydzenie do pracy wolnych ludzi. Czynie-
nieli to, aby pozbyć się obowiązku, który im się
wydawał uciążliwym, zupełnie tak samo, jak przed
pięćdziesięciu laty ludzie bogaci najmowali za pie-
niądze biedaków, którzy zastępowali ich w szeregach
żołnierzy przy wykonywaniu służby wojskowej (tak
było w Belgji do r. 1913).

Różni pisarze zadawali sobie nieraz pytanie, co
uczynić, aby praca ludzka była radością. Wielki poeta
francuski, Sully-Prudhomme, powiedział: „gdybym
był Bogiem, piękne owoce dojrzewałyby na drze-
wach bez łupin, praca byłaby tylko radością i pra-
cowałibyśmy tylko, aby odczuwać radość własnej
siły“.—Gdybym był Bogiem, namyślałbym się długo,
zanimbym spełnił życzenie poety,—nie byłbym wcale
pewnym, że oddaję ludzkości przysługę, czyniąc
z pracy „zabawę“, albo czyniąc z niej prostą funkcję
przyrodzoną, jak to ma miejsce u zwierząt. Widzimy,
że idea przymusu, idea cierpienia związanego z pracą,
była źródłem cywilizacji. Była prawem świata, ile że
dzięki niej człowiek, który nie lubi pracować, szuka,
stara się, zabiega koło zmniejszenia trudu i cierpie-
nia; panuje nad prawami przyrody,—korzysta z pracy
maszyn, organizuje stowarzyszenia i zespoły pracy,
stara się organizować podział umiejętności pracy. Czyni
to pod rządem zasady najmniejszego oporu, zasady
hedonistycznej, która jest podstawą wszelkiej eko-
nomji politycznej. Człowiek pracuje cudownie, ażeby
uniknąć pracy, jakkolwiek nie może się pochwalić
wielkimi w tym względzie wynikami: gromadzi pracę

Herkulesa, ażeby zmniejszyć tę ilość, którą powinien wykonać. W ten sposób naturę wystrycha, jakgdyby, na dudka. Powiedzmy jednak zaraz, że rola, którą mu każe grać natura, jest błogosławieństwem. Cel ucieka przed nim, co budzi szczęśliwe rozczarowanie; cel ten zatrzymałby się tego dnia, w którym praca człowieka stałaby się tylko brzęczeniem pszczoły, albo śpiewem ptaszka, w którymby praca stała się tem, co utopista francuski Fourier nazywał „pracą zachęcającą“. Nie żałujmy tego, że praca jest dla człowieka czem innym, niż jest dla zwierząt, że praca przestała być prostą funkcją przyrodzoną; nie pragniemy, aby stała się z czasem sportem tylko, wtedy bowiem przestanie być produkcyjną. Zamiast tego towarzyszymy jej na tej długiej i ciężkiej drodze w górę, na drodze, na której staje się coraz bardziej szlachetna. Albowiem na początku tej drogi praca zna tylko jeden motor: bał, albo przymus, później konieczność zarabiania na kawałek chleba powszedniego, później interes osobisty, który domaga się coraz większego udziału w produkcji pracy; przyjdzie chwila, kiedy praca wzniesie się do godności służby społecznej i wtedy nie będzie znała innej pobudki, jak tylko dobro publiczne i obowiązek, wynikający z solidarności.

Rozwój pracy, która stała się już służbą publiczną, urzeczywistniał się w niektórych społeczeństwach zwierzęcych. Można bowiem i o pszczole powiedzieć, że ona nie pracuje dla siebie, tylko dla roju i bardzo być może, że czyni to świadomie.

Kapitał. Tyle o początkach pracy. Przecho-
dzimy do innego działu wiadomości, które napoty-
kamy i u zwierząt: do własności. Za wielkie to sło-
wo — własność, aby mówić o niej w tem miejscu;
własność jest pojęciem o dalekiej tysiącoletniej hi-
storji; jestto pojęcie bardzo złożone, skomplikowane,
liczące w przekroju swoim, jak drzewo, niezliczone
warstwy, urobione przez wieki. W tem miejscu wła-
sność znaczy poprostu przywłaszczenie, czyli ina-
czej zjawisko, które polega na tem, że istota żywa
widzi w świecie zewnętrznym pewne przedmioty,
które odpowiadają jej potrzebom, które budzą w niej
pragnienie posiadania i które ona sobie przywłaszcza,
„czyni swojemi“ w głębokiem znaczeniu tego wyrazu.

Pierwszym aktem przywłaszczenia, aby uczy-
nić rzecz swoją, jest ją spożyć.

Wystarczy przypatrzeć się małym dzieciom.
Przyjrzyjmy się, jak zaciskają w piąstkach swoich
przedmioty, które im dajemy, i jak krzyczą albo płą-
czą, kiedy pragniemy im je odebrać. Posiadają in-
stynkt przywłaszczenia w bardzo wysokim stopniu.
Jaki dają instynktowi temu wyraz? Kładą przedmiot
do buzi, ażeby go połknąć, ile że niema lepszego
sposobu przywłaszczenia sobie pewnej rzeczy, jak
ją połknąć, to samo czynią zwierzęta i one znają
przywłaszczenie pod postacią bezpośredniego spo-
życia. Przyrodnik angielski, Thompson Selton, pisze
co następuje o obyczajach zwierząt: „Bawiłem się
pewnego dnia, rzucając orzeszki wiewiórkom; orzech
padał na ziemię, nie stanowiąc niczyjej własności.

Wszystkie wiewiórki rzucały się jednocześnie, ażeby orzechem zawładnąć. Ale pierwsza, która chwyciła orzeszek w zęby, była uważana za prawowitego właściciela. Po upływie kilku sekund prawo to nie mogło być więcej podawane w wątpliwość“. Mamy tu do czynienia z przywłaszczeniem pod postacią spożycia. Idźmy dalej. Jest rzeczą możliwą, że zwierzę nie spożyje od razu przedmiotu, który chwyciło, i że przedmiot ten odłoży na stronę. Są zwierzęta, które tak postępują, w szczególności wiewiórka, albo pies. Owóż, o ile chodzi o przedmiot, który nie może być natychmiastowo spożyty, mamy do czynienia z istotnem posiadaniem, w tym sensie, że mamy do czynienia z przedmiotem, który jest oddzielony od podmiotu i może znajdować się w mniej lub więcej znacznej odległości od niego. Oto co mówi przyrodnik angielski: „Jeżeli wiewiórka była głodna, zjadała orzech natychmiast, jeżeli nie była głodna, obracała orzeszek trzy, albo cztery razy w pyszczku i biegła chować go w spichrzu zimowym“.

Dlaczego wiewiórka obracała orzeszkiem trzy, albo cztery razy w pyszczku? Zupełnie dlatego samego powodu, dla którego dziecko, o którym mówiłem wyżej, kładzie każdy przedmiot do ust, pragnąc go połknąć. Wiewiórka jest bardziej inteligentna od małego dziecka. Wie, że nie może połknąć orzeszka, zanim go wyłuska. Kładzie orzeszek do pyszczka, „ażeby pozostawał na nim właściwy jej zapach, aby w ten sposób rozpoznawały go łatwo inne wiewiórki i ona sama, kiedy go znajdzie w kryjówce“. Wie-

wiórka kładzie w ten sposób na orzeszku pieczęć własności, i gest jej stanowi jakgdyby wzięcie w posiadanie, co później w języku prawników rzymskich nazywa się *mancipatio*.

Oto w jakich warunkach zaczyna się przywłaszczenie: staje się to w chwili, kiedy przywłaszczenie wyodrębnia się ze spożycia we właściwym znaczeniu tego wyrazu; dalszy swój rozwój przywłaszczenie znajduje pod postacią oszczędności, albo przygotowania zapasów. Własność w świecie zwierzęcym znajduje sobie wyraz inny, jeszcze bardziej ludzki — w kradzieży. Zwierzęta często okradają się wzajem: jastrzębie, rybojady, kradną sobie wzajemnie ryby, łowione przez współzawodników i tworzą w swoim gatunku jakgdyby klasę pasorzytów. To samo ma miejsce w świecie owadów. Rządzi nimi bardzo charakterystyczne poczucie własności. Wielki niegdyś publicysta francuski, Proudhon, powiedział, jak wiadomo: „własność — to kradzież“. Formuła ta może na pewno ulegać dyskusji, ale stanie się niezaprzeczną prawdą, jeżeli się ją odwróci i powie: „kradzież to własność“. Jest rzeczą oczywistą, że gdyby nie było właścicieli, nie byłoby i złodziei. Owóż zwierzęta doskonale odczuwają, że przedmiot, który kradną, stanowi cudzą własność. Zwierzęta mają nie tylko poczucie przywłaszczenia sobie indywidualnego przedmiotów spożycia, odczuwają zupełnie to samo w przedmiocie mieszkań: pszczoła broni swojego roju i ula, ptak broni swojego gniazda, jak pies broni swojego barłogu, nie mówiąc już

o tem, jak broni własności swojego pana. Ale zwierzęta mają również poczucie własności zbiorowej. Znana jest historia psów konstantynopolitańskich, które rząd młodoturecki wywiózł na wyspę niezamieszkaną, skazując nieszczęśliwe zwierzęta na śmierć głodową, co jest jedną z najbrzydszych rzeczy, jakiej rząd ten dokonał. Zanim rząd przyszedł do władzy, psy owe żyły w specjalnych dzielnicach i nie wolno było przechodzić im z jednej do drugiej. O ile jakiś śmiały pies zdecydował się zajrzeć do dzielnicy, do której nie miał prawa zaglądać, psy gromadnie rzuciły się na śmiałka i gnały go aż do granicy, od której zaczynała się inna dzielnica; w ten sposób zaznaczały wyraźnie, że linja, od której zaczynała się nowa dzielnica, była granicą terytorjum, na którym im tylko wolno było przebywać.

U nas, w rodzaju ludzkim, własność istnieje przeważnie pod formą kapitałów. Czy kapitał istnieje także w świadomości gatunków zwierzęcych? Tak i nie. Tak, jeżeli będziemy rozumieli kapitał pod formą najprostszą, jaką jest gromadzenie zapasów żywności, przeznaczonych do spożycia, w granicach pewnego okresu czasu. Wiewiórka posiada kryjówki, w których chowa orzechy. Stosuje już nawet zasadę, właściwą naszym ojcom rodziny, kapitalistom, którzy unikają umieszczania wszystkich posiadanych oszczędności w jednym przedsiębiorstwie; wiewiórka posiada kilka kryjówek; jeżeli straci jedną, zawsze jej pozostaną inne w zapasie. Mamy tu do czynienia z uczuciem przezorności, zadziwiająco rozwinię-

tem. Zali trzeba wspominać o ulu, w którym pszczoła gromadzi zapasy miodu? Albo o spichlerzykach mrówki? Mówiliśmy przed chwilą o zwierzętach leniwych. Nie podzielał tego zdania król Salomon, który mówi w „Przypowieściach“: „Człowieku leniwy, idź do mrówki, ona cię nauczy“.

Charakterystyką kapitału jest to, że bogactwo zaoszczędzone służy do produkowania bogactwa nowego. Wróćmy na chwilę do Robinsona. Kiedy Robinson gromadził zapasy swoje, zupełnie tak samo jak wiewiórka, pszczoła, albo mrówka, miał nietylko na myśli możliwość spożywania ich w czasie zimowych miesięcy i przechowywania na czarną godzinę, ale przede wszystkim dlatego, aby móc zdobyć wolny czas, któryby mógł zużytkować dla sporządzenia łodzi. W czasie, gdy budował łódź swoją, nie mógł chodzić na polowanie i nie mógłby zbudować jej, gdyby nie posiadał zapasów, które z góry uwalniały go od obowiązkowej pracy codziennej. Oto dlaczego zapasy Robinsona były już w istocie rzeczy kapitałem, to znaczy narzędziem pracy.

Owóż nie wydaje się, ażeby wypadek podobny zachodził w świecie zwierząt: zapasy wiewiórki, pszczoły, nawet mrówki nie są niczem innym, jak tylko gromadzeniem, magazynowaniem zapasów, których przeznaczeniem wyłącznym jest ich spożycie.

Można i inaczej patrzeć na kapitał: można mówić o kapitale stałym, jak mówi ekonomja polityczna (w przeciwstawieniu do kapitału obrotowego, o którym mówiliśmy przed chwilą), to

*

znaczy o przyrządach, maszynach, budowlach. Zali można znaleźć coś podobnego w świecie zwierzęcym? Mówią, że nie. Ekonomiści nazywają człowieka: „fabrykant przyrządów“. Jest prawdą, że zwierzę nigdy nie budowało przyrządów, być może dla tego samego powodu, o którym mówiłem powyżej z powodu ubrania, dlatego, że nie ma pod tym względem żadnej potrzeby. Natura obdarzyła je dla wykonywania jedyne go przemysłu, który uprawia, a mianowicie myśliwstwa, bronią poprostu cudowną, i to zarówno u ssaków, jak i u ptaków, jak wreszcie i u owadów. A jeżeli chodzi o przemysł mieszkaniowy, to jeżeli natura ssakom dała tylko pazury, a ptakom dzioby, niekoniecznie dobrze do tej pracy przystosowane, to jeżeli chodzi o owady, dała im przyrządy nadzwyczajnie złożone i przewyższające te, które posiada człowiek. Niema piły, igły, nożyc, których nie odnaleźlibyśmy w tym strasznym świecie owadów i któreby nie były stosowane wielokrotnie w najróżnorodniejszych pracach. Pocóż im trudzić się nad wynajdywaniem nowych przyrządów? A jednak nie jest prawdą, gdy powiemy, że niema zwierząt, któreby nie budowały przyrządów: wiele z nich buduje potrzaski, które chwytają zwierzynę. Czy trzeba wspomnieć o pajaku i jego pajęczynie? Nie jest to ani odzienie, ani mieszkanie, jest to zasadzka, taka sama, jakimi bywają zasadzki czy sieci myśliwego, albo rybaka. Znamy i doły, które kopie olbrzymi gatunek mrówek, doły, w które wpada „zwierzyna“, którą mrówka przysypuje piaskiem.

Jeżeli chcemy przeprowadzić granicę, która dzieli świat zwierzęcy od świata ludzkiego, nie będziemy jej szukać w fabrykacji przyrządów, ile, że fabrykacje te znają i zwierzęta. Można granice te znaleźć na linii wynalazku ognia. Jest rzeczą bardzo ciekawą, że jakkolwiek zwierzęta bardzo ogień lubią, to jednak nigdy nie wpadły na ten wynalazek. Spójrzmy tylko jak pies, albo kot, wyciąga się lubieżnie w pobliżu kominka albo kuchni, pod którą pali się ogień. To samo zjawisko można zauważyć na pustyni, albo w lesie, gdzie dzikie zwierzęta gromadzą się wokół ogniska: przyciąga je, a jednocześnie budzi w nich strach niemały. Ale wśród tych, które przychodzą grzać się u ogniska, ani wśród tych, w których ślepiach ogień budzi przerażenie przed czemś niewiadomem, nigdy nie narodził się żaden Prometeusz. Mówią często, że niema dymu bez ognia, można lepiej jeszcze powiedzieć, że nigdy nie było ognia bez człowieka. Jeżeli gdziekolwiek-bądź w Afryce podróżnik odkryje pewnego dnia gromadę małp wokół ogniska, które same zapalą, wtedy człowiek będzie mógł powitać w nich braci swoich, ale aż do tej chwili pierwszy ogień, który trysnął z rąk Prometeusza, świecić będzie tylko nad rasą ludzką. Należy nam tedy pożegnać świat, który nam do tej pory służył za przewodnika w ciemnościach pierwszych początków nauki ekonomicznej. Dla nich nauka ekonomiczna nie idzie dalej. Pozostawiamy je w połowie drogi. Rodzaj ludzki stanie się bardzo bogatym, owe zaś zwierzęta pozostaną tylko biedakami.

ROZDZIAŁ II.

WYMIANA I WARTOŚĆ.

Dotychczas znajdowaliśmy się wciąż u progu ekonomji politycznej, albowiem ekonomja polityczna w ścisłym znaczeniu tego słowa zaczyna się tam, gdzie człowiek żyje w społeczności.

Ekonomja polityczna nie jest nauką o człowieku izolowanym, jest to nauka społeczna. Wyraz „ekonomja polityczna“ jest pochodzenia greckiego; etymologicznie wyrazy te obejmują trzy wyrazy greckie, które oznaczają dom, prawo, społeczeństwo. Dla Greków starożytnych społeczeństwo znaczyło to samo, co państwo. Tak, iż przekład dosłowny wyrazów „ekonomja polityczna“ znaczy: „prawa gospodarstwa państwowego“.

Wymiana. Stosunek ekonomiczny wymaga zawsze istnienia dwu ludzi. Z chwilą, kiedy Piątek (Piętaszek) odnajduje Robinsona na wyspie, powieść staje się coraz bardziej zajmującą; dowód to najlepszy, że zbliża się do życia. Dlaczego? Dlatego, że z chwilą, kiedy mamy do czynienia z dwoma ludźmi, może się narodzić pierwsze wielkie zjawisko nauki ekonomicznej, które dla niektórych autorów stanowi

całkowitą jej treść, a mianowicie: w y m i a n a. Jednak zapytajmy, czy wymiana nie mogłaby istnieć dla indywidualnego tylko człowieka? Zali nie można powiedzieć, że dla człowieka, nawet odosobnionego, każdy akt produkcji jest w pewnym sensie wymianą, albowiem wymieniamy przecież nasz trud, nasz czas na jakiś rezultat, którego się spodziewamy? Wszystkie ludy posiadają legendę, w której opowiadają o człowieku, co duszę swoją djabłu sprzedał; jest to także wymiana. Tak mówiąc jednak, bawimy się w subtelne bardzo rozumowanie; aby je zrozumieć, wprowadzamy do naszych wiadomości obrazy zjawisk zapożyczonych ze świata zewnętrznego.

Wróćmy lepiej do wymiany ekonomicznej. Wymiana w istocie rzeczy zaczyna się wtedy, gdy chodzi o przedmiot, który stanowi własność. Pierwsze „bogactwo“ pojawia się na świecie — będzie to miód gromadzony w ulu, albo orzechy zbierane i chowane przez wiewiórkę — wtedy dopiero, kiedy wyodrębnia się od osoby i zaczyna stanowić dobro, które może nabyć osoba druga. Z tą chwilą dobro to staje się przedmiotem zazdrości dla wszystkich ludzi i zwierząt, którzy go nie posiadają.

Jak uczynią istoty, które zechcą przywłaszczyć sobie dobro? Ukradną je. Kradzież jest pierwszym czynem ekonomicznym. A dowód najlepszy, że tak jest, to fakt, że zwierzęta nie znają wymiany, podczas gdy uprawiają kradzież, jak o tem powiedzieliśmy wyżej. Nie mówię tylko o kradzieżach, których ofiarami padają ich towarzysze. Nędzne bo-

gactwo, którem rozporządzają zwierzęta, kość, którą pies schował w słomie, miód nagromadzony w ulu, wszystko to staje się przedmiotem zawiści innych zwierząt, i ażeby przedmiot ten zdobyć, znają jeden tylko środek najprostszy. Nie mam potrzeby mówić, że to samo dzieje się wśród ludzi, że wśród ludzi kradzież poprzedziła na długo wymianę i że w społeczeństwach ludzkich piraci i bandyci istnieli długo i dawno, zanim pojawili się kupcy. Co więcej, kiedy ci ostatni pojawili się na scenie gospodarczej świata, trudno było ich odróżnić od ich poprzedników. Kradzież jest to forma przywłaszczenia (albo, jeżeli chcecie, wywłaszczenia), która jest wrodzona, instynktowna u zwierząt, podczas gdy wymiana nie jest bynajmniej aktem, czynem nieświadomym. Jest to czyn świadomy, nie znajdujący się na poziomie inteligencji pierwotnej. Nietrudno zrozumieć dlaczego: wymiana bowiem domniemywa, że wyzbywamy się świadomie i dobrowolnie pewnego przedmiotu, który stanowi naszą własność. Jeżeli chcemy dokonać wymiany, musimy wyzbyć się własności na rzecz osoby drugiej. Wyzbycie się jest ofiarą, która sprzeciwia się naturze. Przypatrzmy się, czy dziecko z łatwością, dobrowolnie, wyrzeknie się przedmiotu, który otrzymało od nas? Możemy długo mówić: „daj, dam ci co innego“, słyszeć nie chce o zwrocie, a jeżeli nawet się zdarzy, że wypuści przedmiot z ręki, natychmiastowo domaga się jego zwrotu. Zrozumiemy z łatwością niechęć do wyzbywania się, jeżeli uświadomimy sobie jak

wielka ilość pracy, trudu, cierpień mieści się w przedmiocie, który stanowi własność człowieka pierwotnego. Przecież to kość z jego kości. Gdy żądamy, żeby się tego przedmiotu wyzbył, pierwszym jego odruchem będzie — odmowa. Aby zrozumieć taki stan ducha, trzeba podnieść się na wyżyny rozwoju społecznego, od barbarzyńcy do artysty. Opowiadają, że artysta włoski Benvenuto Cellini był tak zazdrosny o swoje prace, cyzelowane z nieskończonem zamiłowaniem, czy był to kielich złoty, albo rękojeść szpady, że chodził mordować tych, którym był arcydzieło swoje sprzedał, aby odzyskać je z powrotem. Wreszcie jest wiele bardzo przedmiotów, których my sami nigdybyśmy nie sprzedali za żadną cenę, na przykład książki, albo meble, do których jesteśmy bardzo przywiązani. Mówimy do człowieka pierwotnego: „Prawda, że wyzbywasz się własności, ale otrzymujesz w zamian lepszą“. Owo lepsze, które mu dajemy wzamian za jego własne, jest rzeczą dla niego niewiadomą. Wie co posiada i czego ma się wyzbyć, nie wie zaś, co wzamian otrzyma; musi wewnątrznie zważyć oba przedmioty, kładąc na jedną szalę wagi ofiarę, którą od niego żądają, a na drugą zadowolenie, którego spodziewa się z nabycia zamiennego przedmiotu. Ciężka chwila. Wybór strach budzący. Strach ten da się porównać do strachu rozbitka, który chwycił się deski, a któremu radzimy, aby puścił deskę, a chwycił linę, a który woli nieraz iść na dno wody, niż deskę z rąk wypuścić. Alternatywę tę odnajdujemy

we wszystkich postaciach i na wszystkich stopniach wymiany, od najskromniejszej aż do najwyższej. Można nawet powiedzieć, że wymiana w postaci najgrubszej, o której tu mówimy, mogła narodzić się w warunkach wyjątkowych. Naprzykład w warunkach, kiedy przedmiot wymienny obudził w duszy człowieka, który go nie posiadał, potrzebę zgoła nową, potrzebę tak silną, że nie mógłby się przed nią obronić; naprzykład, kiedy ofiarują dzikusowi, który nie znał dotąd jak tylko łuk i strzały, strzelbę, albo grającą pozytywkę, albo butelkę wódki. Przedmioty takie zniewolą murzyna afrykańskiego do wyzbycia się wszystkiego co posiada, ażeby przedmioty te zdobyć. Jest inny jeszcze warunek, który uczynił wymianę możliwą. Przedmiot, którego żądamy od właściciela, jest dla niego zbyteczny, naprzykład posiada go w dwóch, albo trzech egzemplarzach. Mówiłem o dzieciach, które nie lubią wymieniać ani odstępować, ale gimnazista, którego dusza dojrzała już w obcowaniu z kolegami i poznała co to jest interes i pożądanie, zajmuje się chętnie, nawet z namiętnością, wymianą znaczków pocztowych. Handel znaczkami pocztowymi jest przykładem typowym, dlatego, że egzemplarz podwójny znaczka pocztowego nie posiada innej wartości, jak tylko tę, że może służyć jako przedmiot i narzędzie wymiany. Człowiek dziki w warunkach życia swojego postąpi podobnie. Jeżeli posiada rzecz w podwójnym egzemplarzu, godzi się ją odstąpić. Ale jakże rzadko spotkać można dzikusa, posiadającego rzeczy w podwój-

nych egzemplarzach. Jest zbyt biedny, aby posiadać rzeczy zbyteczne; jakżeby mógł chętnie je odstępować?

Zatrzymajmy się chwilę przy zjawisku, o którymś przypadkowo wspomnieli, a które jest jednym z największych praw ekonomji politycznej; mówimy o ograniczeniu potrzeb. Wszelka potrzeba człowieka jest ograniczona w tym sensie, że wygasa z chwilą, kiedy jest zaspokojona przy pomocy jednego, albo pewnej ilości przedmiotów, i zaspokojona tem prędzej, im potrzeba jest bardziej prosta i pierwotna. Pragnienie zaspokajamy przy pomocy jednej szklanki wody, i gdyby nam ofiarowano sto szklanek, żadnej to przyjemności nie sprawiłoby nam w chwili, kiedy już pragnienia nie odczuwamy. Podobnie bywa i z chlebem powszednim. Dzicy w szczególności żyją pod rządem potrzeb prostych, tak, iż granica ich nasycenia jest bardzo niedaleka; kiedy posiadą to, czego potrzebują, nie odczuwają potrzeby posiadania więcej. Prawda, że o ile potrzeby stają się bardziej subtelne, granica poszerza się, staje się prawie nieskończenie elastyczną. Czy można określić granicę, na którejby zatrzymało się pożądanie kobiety, o ile chodzi o perły, albo koronki, a jednak prawo, o którym mówimy, istnieje.

Oto inny wypadek, w którym łatwość wymiany nawet u człowieka pierwotnego, w szczególności u człowieka pierwotnego, staje się większa; bywa tak wtedy, kiedy właściciel nie czuje bezpośredniej użyteczności przedmiotu, który posiada, a kiedy ta

użyteczność może stać się oczywistą tylko w czasie mniej lub więcej odległym. Wtedy brak przezorności, którą odznacza się człowiek pierwotny, sprawia, że dzikus uważa przedmiot jako chwilowo zbyt użyteczny. Zdarza się często, że tubylcy Algieru, Marokka, albo Wschodu wogóle odstępują za byle co, za nic prawie, zboże, które powinni byli zachować do siewu. Z chwilą, kiedy zrozumieli, że należy zboże to przechować do roku przyszłego, uważali, że nie posiada ono dla nich wielkiego pożytku. Opowiadają, że niektóre plemiona dzikie, żyjące nad brzegami Amazonki, odznaczają się takim brakiem przezorności, że kiedy chcą odkupić od nich hamak, w którym spać będą w nocy, można łatwo przedmiot ten zdobyć, o ile go zażądamy o wczesnej porze dnia; noc, która przyjdzie, jest w tej chwili dla nich tak oddalona, jak dla nas rok 2000; jeżeli poczekamy do chwili, kiedy sen ich morzyć zacznie, odmówią wymiany, albo sprzedażą.

Zaznaczmy jeden jeszcze warunek, który sprzyja łatwości wymiany. Zdarza się, że posiadacz przedmiotu słucha głosu gościnności, albo altruizmu. Nie jest to bynajmniej przywilej człowieka cywilizowanego. Od najdawniejszych czasów żyli obok siebie w każdej duszy ludzkiej Kain i Abel, i niezawsze Abel ginie z ręki Kaina, jakkolwiek najczęściej drzemie. Oto co nam tłumaczy paradoksalne zjawisko, że w rozwoju zjawisk ekonomicznych, zdaje się, że dar poprzedzi wymianę, inaczej mówiąc, człowiek był pierwotnie bardziej gotowy ten czy ów przed-

miot posiadany podarować, aniżeli odstąpić go za pewną opłatą wymienną.

Powiedziałem przed chwilą, że kradzież poprzedzała zawsze wymianę. Możemy to samo powiedzieć o darze, co pozwala nam rehabilitować naturę człowieka. Być może, że to samo stosuje się i do zwierząt. Nie wiem, ale być może, że możnaby im przyznać, że i one znają naturę daru, co najmniej w ich stosunkach rodzinnych; wystarczy przyglądać się kurze i jej piskłębom w chwili, gdy się matce udało znaleźć ziarnko zboża.

Dar otwiera nam nową drogę do wymiany. Droga ta jest bezpośrednia, jeżeli przypuścimy, że dar staje się wzajemny, albowiem czem dar wzajemny różni się od wymiany? W niczem, chyba w intencjach stron. Owóż dar wzajemny jest zjawiskiem bardzo częstym w cywilizacji pierwotnej, jest w niej nawet regułą; wystarczy czytać opowiadania podróżników afrykańskich. Kiedy im się zdarza, że przybywają w gościnę do murzynów, naczelnik plemienia, posłuszny zasadom grzeczności i gościnności wszystkich ludów dzikich, posyła im, odpowiednio do bogactwa, jakie posiada, wołu albo kury w darze. Oczekuje jednak wzamian daru od cudzoziemca, i jeżeli w wizytach ceremonialnych, które sobie w naszych warunkach kulturalnych oddają panujący, czyniąc to w ten sposób, że w pięć minut po wizycie, którą złożył panujący cudzoziemski, prezydent Republiki Francuskiej składa mu swoją rewizytę, to protokół dworski królika murzyńskiego

oparty jest na tej samej zasadzie wzajemności. Oto dlaczego podróżny europejski wiezie zawsze z sobą najróżnorodniejsze przedmioty, służące do obdarowywania władców murzyńskich, których odwiedza; można nazywać to darem albo zapłatą, zewnętrznie rzeczy te są bardzo podobne. Nie trzeba zresztą iść do Afryki.

W niektórych krajach europejskich, cokolwiek odosobnionych, gdzie niema jeszcze hoteli, system darów wzajemnych jest stały. Mnie samemu zdarzało się sytem ten wypróbować przed wielu laty, w czasie podróży po Hiszpanji. Znalazłem się pewnego dnia w wiosce, gdzie nie było wcale hotelu; stosownie do zwyczaju, tam panującego, poszedłem do proboszcza. Proboszcz daje gościowi mieszkanie, żywi cię darmo, ale byłbyś człowiekiem zgoła nieprzyzwoitym, gdybyś nazajutrz rano, w chwili odjazdu, nie ofiarował mu równoważnika jego wydatków.

W prawie rzymskiem wymiana jest określona w wyrazach: „do ut des“, daję, abyś ty dał (aby otrzymać); jest to jakgdyby świadectwo tej drogi rozwojowej, którą staraliśmy się odtworzyć. To samo zresztą mówią dzieci w szkole, kiedy zwracają się do kolegów i wołają: „daj mi co masz, a ja ci dam, co mam“.

Jest to źródłem niemałej pociechy pomyśleć, że wymiana bierze swój początek także z daru i nie tylko z kradzieży, jak o tem mówiliśmy wyżej. Jest także prawdą, jeżeli wymiana bierze swój początek

w zwyczaju daru wzajemnego, kończy się często w zjawisku już zwyrodniałem—kradzieży wzajemnej. To inna sprawa, spotkamy się z nią w dalszych wywodach naszej książeczki.

Chwila, kiedy wymiana w bezpośrednim znaczeniu tego słowa staje się faktem stwierdzonym, jest w istocie rzeczą chwilą uroczystą w dziejach cywilizacji ludów.

Wartość. Oto czego będziemy świadkami: każde dobro posiadane, przywłaszczone przez człowieka, wszelkie rodzaje bogactwa, bez względu na wielkość tego ostatniego, otrzymuje odtąd charakter dwojaki. Przedewszystkiem pozostanie tem, czem zaczęło być, środkiem użycia, sposobem czynienia zadosyć potrzebom, jak to doskonale wyraża łacińskie *bona* (dobro), albo angielskie *goods* (to co jest dobre). Poza tem jednak dobro to otrzyma nowy charakter, stanie się narzędziem do zdobycia innych dóbr, narzędziem, pozwalającym właścicielowi (posiadaczowi) zdobywać to, co zechce, na drodze wymiany: bądź inne rodzaje bogactwa, bądź nawet pracę bliźniego, usługi tych, którzy tego dobra nie posiadają. Ten drugi rodzaj stanie się nawet przeważającym, otrzyma przewagę nad pierwszym w miarę rozwoju cywilizacji.

Weźmy przykład. Wyobraźmy sobie rolę, jaką gra w społeczeństwie pierwotnem najpierwsze bogactwo, jakim jest zboże. Człowiek, który zbożem wypełnił swój spichlerz, może spoglądać na bogactwo swoje z dwojakiemu stanowiska, na któreśmy wska-

zali. Może powiedzieć, jak mówi bogacz w Ewangelji: „Raduj się duszo moja, posiadasz dobra w wielkiej ilości i możesz żyć w ciągu lat długich, nie niepokojąc się o dzień jutrzejszy“. Może jednak powiedzieć także: „To jest zboże, przy którego pomocy mogę kazać innym ludziom pracować za mnie; kto nie ma chleba, będzie aż nadto szczęśliwy, jeżeli będzie mógł przyjść do mnie, otrzymać zboże i wzamian dać mi pracę swoją; będą pracowali dla mnie, będą moimi sługami“.

Dzięki wymianie bogactwo zdobywa siłę, możliwość rozkazywania innym ludziom. A siła ta nazywa się w ekonomji politycznej w a r t o ś c i ą: jest to wyraz najpotężniejszy w całym systemie ekonomji politycznej.

Niekiedy mówi się o wartości w pierwszym znaczeniu, w którym użyłem wyrazu bogactw, jest to jednak błąd ekonomiczny, kiedy ekonomiści stosują ten wyraz do dóbr spożywanych, mówiąc o wartości w sensie zwyczajaju; ale kiedy mówią „wartość wymienna“, albo poprostu „wartość“, używają tego wyrazu tylko w drugim znaczeniu, i tkwi tutaj różnica zasadnicza. Istnieją dobra, które zasługują doskonale na nazwę dóbr w tym sensie, że są dla ich posiadacza nieskończenie pożyteczne, jednak dobra te nie posiadają żadnej wartości wymiennej. Dla krótkowidza okulary posiadają nieskończenie wielką wartość; jednak wartość wymienna okularów jest żadna, ile że przypuszczając, że może je odprzedać za cenę, którą za nie optykowi zapłacił,

co zresztą jest mało prawdopodobne, cena, którą otrzyma, nie skompensuje, w małej nawet części, braku, jaki będzie odczuwał. Kula drewniana, albo noga drewniana dla człowieka, któremu odjęto jego własną, jest bezgranicznie użyteczna i konieczna, ale zaprawdę jakże małą posiada wartość wymienną?

Wyraz „wartość“ stosowany jest przez ekonomistów od najdawniejszych czasów (od czasów Arystotelesa), ale choć ma tak dawną historję, nie znalazł jeszcze wytłumaczenia, któreby w zupełności zadowoliło wszystkich ekonomistów. Nie mam zamiaru tłumaczyć tutaj znaczenia naukowego, specjalnego „wartości“, pragnę raczej tłumaczyć ten wyraz popularnie ze stanowiska zdrowego sensu. Można je określić poprostu mówiąc, że wartość, to jest możność zdobycia (przedmiotu), co znaczy, że o istocie wartości stanowi w znacznie mniejszym stopniu pożądanie tych, którzy posiadają (dobro), niż pożądanie tych, którzy tego dobra nie posiadają, którzy tego dobra zazdroszczą, którzy pragnęliby je posiadać i którzy gotowi są odstąpić wszystko, ażeby je zdobyć. W tych warunkach przedmiot, który posiadam, posiada wielką wartość; wartość ta mierzy się napięciem pożądanja bliźniego, pozwala wywierać na bliźnich nacisk, znajdujący się w prostym stosunku do napięcia ich pożądanja, pozwala żądać od nich wszystkiego, co chcemy, ażeby mogli otrzymać to, co ja posiadam. Pokazujemy psu kawałek cukru: uczyni wszystko co każemy, będzie wył, śpiewał, skakał, ażeby cukier zdobyć. Wartość w tym

samym sensie działa na człowieka. Jest tedy rzeczą oczywistą, że o wartości stanowi pożądanie bliźniego. W wartości ekonomicznej tedy spoczywa jakgdyby ziarno niemoralności. Albowiem, jeżeli wartość ekonomiczna stanowi o istocie wpływów naszych na bliźnich, mianowicie, pozwalając spekulować na pożądaniu, jakie wartość w nich budzi, jakże jest ona daleka od tego, co nazywamy „wartościami moralnymi“. Nie dajmy wprowadzać siebie w błąd przez podobieństwo brzmienia tego samego wyrazu: wartości moralne mają tę cudowną właściwość, że stają się własnością wszystkich najzupełniej darmo i że wszyscy mogą z nich korzystać, nie przynosząc żadnej ujmy temu, który je posiada.

Handel. Wymiana w pierwotnem znaczeniu tego słowa pozostaje zjawiskiem wyjątkowem dopóty, dopóki warunki nie poszerzą pola jej stosowania. Zanim wymiana, mająca miejsce w społeczeństwach dzikich, przeobrazą się w wymianę stałą, którą nazywamy handlem, przechodzi przez cały szereg etapów, o których należy kilka słów powiedzieć. Przedewszystkiem trzeba, ażeby znikł wstręt, jaki odczuwa człowiek dziki do wyzbycia się przedmiotu przezeń posiadanego. Jak się to odbywa? Wstręt ten zniknie tego dnia, kiedy okaże się, że przedmioty pewne nie zostały wyprodukowane z zamiarem zaspokojenia przy ich pomocy potrzeb producenta, ale w zamiarze wyzbycia się ich na drodze odstąpienia ich osobom potrzebującym. Stan rzeczy, w którego granicach człowiek nie pracuje tylko dla

zaspokojenia swoich własnych potrzeb, ale i także gwoli zaspokojeniu potrzeb osób trzecich, nazywa się wykonywaniem rzemiosła. Dziecko, które prowadzimy do piekarni, albo do składu trzewików, woła: „Co ten pan pocznie z tylu bochenkami chleba, albo z temi wszystkimi trzewikami? przecież kilka zaledwie bochenków, albo para trzewików wystarczyłoby dla niego“. Tłumaczymy mu wtedy, że piekarz wszystkie te chleby piecze nie poto, żeby je spożyć, i że szewc, wyrabiając wszystkie te liczne pary obuwia, nie myśli tylko o sobie. I jeden i drugi pieką i szyją poto, ażeby dobro swoje wymienić na inne dobra, których potrzebują. Człowiek pierwotny pracuje dla własnej potrzeby, piecze własny kawałek chleba, szyje dla siebie tylko odzież; człowiek cywilizowany mówi do siebie: będę produkował dla uczynienia zadosyć potrzebom, które mnie nic nie obchodzą, ale które mi pomogą czynić zadosyć własnym moim potrzebom, lepiej niż gdybym bezpośrednio starał się im uczynić zadosyć. Oto co się nazywa obrać sobie rzemiosło, zawód, albo, mówiąc o zawodach uważanych za wyższe, karierę.

Na tem też polega zasada, która się nazywa *podziałem pracy*; zasada ta jest jednym z najpotężniejszych praw nauki ekonomicznej, i nie tylko ekonomji politycznej, ale i socjologii.

Wymiana nabiera charakteru bardzo szerokiego dopiero w czasach, kiedy rzemiosło staje się regułą; wtedy dopiero wyzbycie się dóbr, o których wyżej była mowa, nie mieści w sobie żadnego zgoła cha-

*

rakteru ofiary! przeciwnie dobra zostały przecież wyprodukowane po to tylko, aby mogły być sprzedane. Mówiliśmy o artystach, którym serce pęka w chwili, gdy zmuszeni są wyzbywać się dzieł sztuki, które stworzyli; mówiliśmy o Benvenuto Cellinim, który mordował nabywców jego arcydzieł, aby móc arcydzieła te otrzymać z powrotem. Nie znajdziemy jednak szewca o tyle obłąkanego, aby płakał w chwili, kiedy ktoś kupuje u niego trzewiki i aby biegał za kupującym i starał się wyroby swoje z powrotem otrzymać.

Rzemiosła powstawały powoli; wyodrębniały się z wolna od pierwotnego jądra, które nazywamy ekonomią domową, to znaczy takim ustrojem ekonomicznym, w którym człowiek, w którym rodzina produkowała wszystko co było jej do życia potrzebne. Nie trzeba wcale cofać się do czasów przedhistorycznych, ażeby odnaleźć początki pracy rzemiosłowej. Ja sam w życiu mojem byłem świadkiem narodzin kilku rzemiosł. W miasteczku, w którym spędziłem dzieciństwo, widziałem, jak powstało kilka rzemiosł; w domu rodzicielskim widziałem, jak przygotowywano konfitury, jak wędzono szynki i kielbasy, jak prano bieliznę, widziałem też jak chleb piekli. Jednak zauważyłem, jak powoli znikwały z domu rodzicielskiego zarówno fabrykacja konfitur, jak chleba, fabrykacja kielbas, jak pranie bielizny i jak powoli wszystkie te rzemiosła przeniosły się na ulicę i znalazły sobie miejsce swoje w sklepach, przeznaczonych już nie dla jednej tylko rodziny, ale dla wszystkich. Dawniej pracował w domach

i kołowrotek, pracował dla całej rodziny, biegiem lat porzucił ognisko domowe, stał się rzemieślnikiem, a z czasem stał się jedną z najpotężniejszych gałęzi przemysłu światowego.

Powoli rodzina pierwotna porzuciła rzemiosło, które uprawiała dla potrzeb wymiany. Dodajmy, że emigracja tych wszystkich rzemiosł, że ich zróżnicowanie stało się możliwem z chwilą, gdy jednocześnie zaczęły się wyodrębniać z pośród tłumu ludzkiego pewne szczególnie kwalifikowane gatunki ludzkie, zwane kupcami. Kupcy odegrali w dziejach cywilizacji rolę pierwszorzędną: bądź za biblijnych czasów Tyru i Sydonu, bądź Kartaginy, bądź w Holandji, czy w Anglii: kupcy zaludnili, skolonizowali, ucywilizowali, z bogacili, ale i znieprawili świat cały. Kupiec pierwotny jest to zjawisko, które i dziś jeszcze oglądać można w zapadłych okolicach: obnośnik, kolporter, „węgiel“, który nosi tłumok swój na plecach, albo popędza swój wózek, idąc od wsi do wsi, od chaty do chaty, wyklada wszystko co posiada, kusząc dziewczęta i chłopców. Trzeba było długiego okresu historii, ażeby przejść od takiego „węgra“ do wielkiego magazynu nowości w wielkiem mieście, albo co więcej, do owych olbrzymich domów handlowych w Ameryce, które nie posiadają ani domów, ani towarów, i gdzie wszystko nabywa się przy pomocy korespondencji. Ci kupcy dzisiejsi są to tylko handlarze, ludzie interesu (business-man), podczas gdy pierwsi kupcy na świecie byli poprostu bohaterami.



ROZDZIAŁ III.

PIENIĄDZ.

Wymiana pozwala nam zostawić daleko w tyle za sobą zwierzęta. Jednak pierwotna wymiana przedmiotu za przedmiot jest sprawą aż nazbyt niedogodną, ile że rzadko tylko spotkać się daje potrzeba z jednej i drugiej strony tak ściśle określona, że wymiana wzajemna z jednej i z drugiej strony może w całości i bez reszty zaspokoić potrzeby, o które jednej i drugiej stronie w jednakowym stopniu chodzi.

Oto przykład, zapożyczony z podróży afrykańskiej: „potrzebne mi było czółno; jego właściciel żądał zapłaty w kości słoniowej, której nie posiadałem. Zacząłem szukać człowieka, któryby mi mógł odstąpić kość słoniową. Wskazano mi Mohammeda-Ibn-Seliba, który w istocie posiadał jej dużo, ale nie chciał mi jej odstąpić inaczej, jak tylko za materję jedwabną. Nie miałem tej materji. Zacząłem szukać takiego, któryby ją posiadał. Znalazłem Ibn-Geriba, który zgodził się dać mi, ile mi było potrzeba, za pewną ilość drutu mosiężnego, który widział u mnie. Byłem uratowany. Dałem drut mosiężny jednemu

i otrzymałem wzamian materję; ofiarowałem materję Ibn-Selibowi i otrzymałem wzamian kość słoniową. Wreszcie właścicielowi czółna mogłem ofiarować kość słoniową. Czółno znalazło się w posiadaniu mojem“. Jeżeli z takimi trudnościami musi człowiek walczyć, gdy chodzi o przedmioty materialne, o towary, z jakimiż trudnościami musiałby walczyć, gdy chodzi o produkty umysłowe, o usługi? Gdybym za chleb, albo za buty musiał ofiarować naukanie ekonomji politycznej, mógłbym długo szukać kupca, któryby się zgodził na podobną wymianę. Czego potrzeba, aby ta trudność została usunięta? Trzeba wynaleźć towar, który przypada do smaku, na który godzą się wszyscy, nie dlatego, aby odpowiadał potrzebie indywidualnej, ale któryby odpowiadał potrzebie powszechnej. Zali istnieją podobne towary? Tak. Istnieją wszędzie, nawet w społeczeństwach pierwotnych (można powiedzieć, że istnieją w szczególności w tych ostatnich). Naprzykład, niektóre środki żywności: tak w Japonji, gdzie wszyscy, bogaci i biedni, żywią się ryżem, wszystkie towary, pensje urzędników i t. d. były aż do rewolucji 1868 r. obliczane w ryżu. W innych krajach zamiast ryżu brano pod uwagę futra, dlatego, że były to kraje polarne, w których wszyscy futra nosić muszą. W społeczeństwach, znajdujących się na poziomie pasterskim, takim środkiem wymiany był wół, albo baran. Niedawno jeszcze, już po wojnie, używano znaczków pocztowych, jako środka pieniężnego przy płaceniu drobnych kwot pienię-

żnych, przy wydawaniu reszty w sklepach. Nikt nie protestował dla bardzo prostej przyczyny, bo mało jest ludzi, którzyby nie używali znaczków pocztowych.

Środkiem wymiany mogą być atoli nietylko towary o charakterze, który posiadają przedmioty powszechnego spożycia; istnieją przedmioty rzadkie, nadające się do tego w chwilach, kiedy odpowiadają silnemu pożądaniu, jak naprzykład drogie kamienie, szlachetne metale. Pomiędzy wszystkimi jednak metalami jeden przedewszystkiem od najdawniejszych czasów był przedmiotem radości i zadości człowieka: złoto. Złoto jest nietylko najpiękniejszym metalem, ale i tym, który człowiek poznał najwcześniej. Dlaczego? Złoto nie czernieje, co znaczy, że nie ulega przemianie, że pozostaje zawsze czystem, czego nie bywa z innymi metalami, nie bywa nawet ze srebrem. Metal prawdziwie „królewski“ dla blasku, dla wspaniałego koloru, a także i ze względów na bezużyteczność, ile że służy tylko dla zbytku, nie zaś dla potrzeb przemysłu. Nie może służyć do wyrobu broni, ani narzędzi, nie może posłużyć do wyrobu szabli albo pługa. Złoto było jakgdyby predestynowane do roli pieniądza. Jego przeznaczeniem było służyć jako znak bogactwa.

Sprzedaż. Przyjrzyjmy się, jakie zmiany wprowadza stosowanie towaru pośredniczącego do sprawy wymiany. Kto będzie chciał wymienić przedmiot, który posiada, zamiast, jak to miało miejsce z owym

przykładem, czerpanym z opisu podróżnika po Afryce, szukać osoby, któraby mu mogła odstąpić przedmiot, którego pożąda, poszuka poprostu osoby, posiadającej towar pośredniczący, co nie będzie rzeczą trudną i wymieni przedmiot przez niego posiadany na ten mianowicie towar, to znaczy na złoto: nazywać się to będzie sprzedażą. Następnie, kiedy już otrzyma, tytułem wymiany, za odstąpiony towar pośredni, owo złoto, poszuka przedmiotu, którego pożąda i wymieni posiadane złoto na ten poszukiwany towar. Nazywać się to będzie kupnem. Oto w jakich warunkach przy pomocy towaru pośredniego pierwotna wymiana uległa rozkładowi na dwie następujące po sobie operacje, solidarne z sobą, z których jedna nazywa się sprzedażą, a druga — kupnem. Pozostaje atoli jeszcze jedna trudność do opanowania; posiadając nawet pieniądze, nie zawsze jest łatwo kupić, to znaczy znaleźć to, czego pożądamy u osoby, któraby chciała sprzedać, i znacznie trudniej bywa sprzedać, to znaczy znaleźć osobę, któraby chciała ofiarować nam pieniądze wzamian za przedmiot, który my posiadamy. Weźmy jako przykład książkę. Niekoniecznie jest posiadać pełną portmonetkę, ażeby nabyć książkę, której pożądamy, gdyby nie było księgarni. I na odwrót, ci, którzy chcieliby książki swoje sprzedać, wiedzą, że to nie jest rzeczą łatwą, nawet w tym wypadku, kiedy chodziłoby o książki stare, a w wypadku odwrotnym, wiedzą, że w razie potrzeby musieliby za te książki płacić bardzo słone ceny.

Innemi słowy, aby wymiana była łatwa, niedosyć, że towar pośredni został wynaleziony, trzeba, aby jeszcze powstała kategoria społeczna, posiadająca funkcję społeczną, polegającą na kolekcjonowaniu, że tak powiemy, przedmiotów, których posiadacze mają za dużo i których chcą się pozbyć, aby w następstwie i później oddać te przedmioty potrzebującym. Kategoria społeczna, pełniąca taką funkcję — są to kupcy. Jeżeli pozostaniemy przy przykładzie, któryśmy dali wyżej, to jest przy książkach, idziemy do księgarni, albo do antykwariusza, to znaczy do człowieka, który handluje książkami, który kupuje je u tych, którzy w danej chwili dla tych, czy innych powodów, chcą się książek pozbyć. Oto na jakiej drodze dochodzimy przy pomocy pozornych komplikacyj do uproszczeń. Tak bywa często w różnych zagadnieniach społeczno-ekonomicznych. Trzeba posiadać maszyny bardzo skomplikowane, ażeby przy ich pomocy wykonywać bardzo prostą pracę.

Pieniądz. Kilka razy zdarzyło nam się użyć wyrazu „pieniądz“, jednego z najpotężniejszych wyrazów w ekonomji politycznej. W pieniądzu żyje jakaś tajemnicza, magiczna siła. Zachowałem wspomnienie bardzo żywe, że ta właśnie tajemnicza strona pieniądza skierowała pierwsza uwagę moją na zagadnienia ekonomji politycznej w czasach, kiedy uczęszczałem do szkół, i przypominam sobie dzisiaj jeszcze miejsce, gdzie zjawisko to uderzyło moją uwagę. Byłem dzieckiem, które zaczytywało się

w bajkach cudownych i umiało na pamięć historję Aladyna i jego tajemniczej lampy, którą, jak wiadomo, wystarczyło potrzeć palcem, ażeby zdobyć wszystkie bogactwa. Pewnego dnia powiedziałem sobie: wszak za pieniądze można otrzymać wszystko, co dawała lampa Aladyna: doskonałe obiady, drogie kamienie, pałac królewski, czarnych, czy białych niewolników, można nawet otrzymać rękę księżniczki. Dziecko od najmłodszych lat wie, że za drobne monety można kupić wszystkiego, czego się zechce. Byłoby rzeczą zajmującą ze stanowiska psychologii wieku dziecięcego określić wiek, w którym dziecko zamiast znajdować zadowolenie swoje w darach dawanych w naturze, w zabawkach i lalkach, zaczyna znajdować takie same, albo i większe zadowolenie w otrzymanej monecie srebrnej, albo złotej, albo w bilecie bankowym; w takich wypadkach mówi się dziecku: kupisz sobie, co ci sprawi przyjemność.

Ludzie dzicy nie odrazu zdobywali takiego rodzaju świadomość. Jest wiele plemion dzikich, które nie poznają się wcale na wartości pieniądza, nawet złotego, — można im ofiarować tylko przedmioty w naturze. Tak też zdarzyło się i w Rosji za rządów bolszewickich, kiedy włościanie odmawiali sprzedawania zboża za pieniądze, godząc się tylko na wymianę tego, co produkowali, na fabrykaty.

Jak wytłumaczyć potęgę pieniądza? Pierwsza odpowiedź będzie, że jest to powszechne narzędzie wymiany, co znaczy, że ten, który posiada pieniądze, wie, że wzamian za pieniądze posiadzie wszystko,

czego pożąda, chyba, że znajdzie się na pustyni, albo w jakimś zapadłym kącie. Żaden kupiec zawodowy nie odmówi mu wymiany przedmiotów, których pożąda, za pieniądze, które posiada, pod jednym warunkiem koniecznym, to znaczy, aby kupiec posiadał tych przedmiotów ilość wystarczającą. Oto wyższość, jaką posiada pieniądź nad wszelkim innym towarem, najbardziej nawet drogocennym. Człowiek, który posiada wielkie bogactwa w obrazach, w drogich kamieniach, w innych dziełach sztuki, nie będzie mógł korzystać z tych bogactw, jako z narzędzi wymiany, jak tylko pod warunkiem, że zamieni te swoje bogactwa na drodze sprzedaży na pieniądze, to znaczy, jak mówią Francuzi, „zrealizuje“ bogactwa swoje. (Zwracamy uwagę na ten ciekawy wyraz, który świadczyć się zdaje w języku francuskim, że pieniądź jest w zakresie wartości jedyną „realnością“.) W rzeczy samej, człowiek, który posiada pieniądze, wolny jest od tego rodzaju przedwstępnych operacyj: zdobywa bezpośrednio to, na co posiadacz bezcennych obrazów musi nieraz czekać czas długi. Wie, że bogactwo, jakie posiada w pieniądzu, zawsze kupca znajdzie i że jest jedynem, o którymby można to powiedzieć. Zdarzyło się na południu Francji, że producenci win w ciągu dziesięciu lat czekali na kupców, nie mogąc sprzedać olbrzymich zapasów wina. Pieniądź nietylko znajduje zawsze kupca, ale jest przedmiotem głębokiego pożądania wszystkich; co za tem idzie, daje człowiekowi, który go posiada, nietylko możliwość kupna

w znaczeniu ekonomicznem tego wyrazu, ale daje także władzę rozkazywania. Nie darmo też w listach, które kupcy piszą, znajdujemy zwroty w rodzaju takich naprzykład, jak: „w oczekiwaniu poleceń“ (po franc. „rozkazów — *ordres*), albo „pozostaję do usług pańskich“. Nie są to tylko zwroty przyjęte; są one wyrazem rzeczywistego stosunku, który stwarza posiadanie pieniądza, i to nie tylko w dziedzinie obstalunków, ale i w dziedzinie pracy. Można bowiem za pieniądze otrzymać usługi wszelkiego rodzaju, nie tylko uczciwe, ale i takie, które obrażają godność ludzką.

Nie jest to tylko jedyny powód, który tłumaczy to, co nazywałem wyżej siłą magiczną, talizmanową pieniądza. Jest inny jeszcze: pieniądz bowiem gromadzi, magazynuje wartość na podobieństwo akumulatorów siły elektrycznej, które tę siłę wydają w miarę potrzeby. W małej lampce elektrycznej, lampce kieszonkowej, spoczywa taki akumulator, i wystarczy nacisnąć guzik, aby lampka świecić zaczęła. Tak samo dzieje się z pieniądzem. Wyobraża siłę, z której właściciel zrobi użytek, kiedy będzie chciał. Oto włościanin, wracający z rynku, gdzie sprzedał masło, jaja, albo wino; otrzymał wzamian worek pieniędzy, albo paczkę banknotów. Może pieniądze swoje zużytkować natychmiast, kupując za nie przedmioty, których dla siebie i rodziny potrzebuje. Może też zachować kwotę pieniędzy, może schować ją do pończochy, którą włościanie francuscy posiadają podobno i dziś jeszcze, i w ten

sposób kwotę tę „zaoszczędzić“. Wartość tych pieniędzy nie ulegnie zmianie, ani po dziesięciu, ani po dwudziestu latach, ani nawet wtedy, kiedy już nie będzie jego samego na świecie. W każdej chwili będzie mógł on, lub jego spadkobiercy, wydobyć je na jaśnie, naciskając jakgdyby guzik, dzięki któremu z ciemnej lampki elektrycznej tryskają promienie światła. Spadkobiercy korzystać będą z pieniędzy, nagromadzonych przez ojca, albo dziadka, a jeżeli ów włościanin w obawie przed wojną, czy rewolucją, schował pieniądze swoje w ziemi, i jeżeli po stu, albo po tysiącu latach pieniądze te odszukane zostaną, będą się nazywały skarbem, a szczęśliwy znalazca wykorzysta całkowitą wartość w nich drzemiącą: pieniądź znaleziony będzie w jego rękach jak owa „śpiąca królewna z bajki w ramionach pięknego królewicza“.

Można powiedzieć, że zjawisko to nie jest wyłącznie właściwością pieniądza i że człowiek, któryby dziś odnalazł nową Wenus miłońską, albo chociażby jedno z dwu ramion brakujących Wenerze, znajdującej się w muzeum paryskim, mógłby być też bogatym. Zapewne, że tak, dlatego, że marmur i bronz należą również do rodzaju bogactw, korzystających z pięknego przywileju nieśmiertelności. Niewiele atoli jest bogactw, o których możnaby to samo powiedzieć. Włościanin, o którym mówiłem, gdyby zamiast chować pieniądze, starał się przechować zboże swoje, które jest towarem doskonale się przechowującym, po upływie kilku lat, nie posia-

dałby nic, ile że cały jego zbiór byłby zniszczony przez czas, pożarty, przestałby w ten czy inny sposób istnieć.

Jednak należy nam wprowadzić poprawkę do rozumowania, jakoby złoto, albo srebro, zachowywały integralnie, to znaczy bez najmniejszej zmiany, wartość swoją bez względu na czas. Skarb, zakopany w ziemi za czasów Pochodów Krzyżowych, dzisiaj odnaleziony, nie będzie więcej posiadał tej wartości, którą posiadał dla właściciela, to znaczy nie będzie posiadał tej samej siły kupnej; straci być może $\frac{5}{6}$ owej siły. Zwróćmy uwagę i na to, że mówimy przez cały czas o franku złotym, cóż dopiero byłoby, gdybym miał na myśli frank papierowy. Pieniądz metalowy, nawet pieniądz złoty, jest jak owe flakony perfum, które bez względu na to, że są hermetycznie zamknięte, w ciągu lat długich wyparowują część zapachu swego. I pieniądz wyparowuje część wartości swojej, jednak strata na pieniądzu jest znacznie mniejsza, niż na jakimkolwiek innym towarze,

Oto inny jeszcze przywilej pieniądza. Gdy człowiek, posiadający pieniądze, może za ich cenę kupić wszystko, czego pragnie, uważa niekiedy, że może nie pracować dla produkowania tego, czego potrzebuje. Było niegdyś powiedziano: „pracować będziesz w pocie czoła swego“, co w języku ekonomicznym znaczyło, że każdy człowiek podlega prawu pracy, ale człowiek, który posiada pieniądz, jest jakgdyby wyjęty z pod panowania tego prawa. Zali nie mamy tu do czynienia z przywilejem tego samego rodzaju,

który sprawiał, że w dawnych wiekach szlachta była wolna od płacenia podatków?

Słynny niegdyś ekonomista ze szkoły liberalnej, Bastiat, w książce pod tytułem: *Harmonie ekonomiczne*, w której stara się wytłumaczyć ze stanowiska moralnego wszystkie zjawiska ekonomiczne, zwraca uwagę na fakt, że pieniądz uwalnia człowieka, który go posiada, od pracy; fakt ten atoli nie razi go wcale, albowiem uważa, że pieniądz przedstawia pracę nagromadzoną. Wystarczy przyjrzeć się mechanizmowi, który tłumaczyłem przed chwilą, sprzedaży i kupna, aby zrozumieć, że ludzie zdobywają pieniądz na drodze sprzedaży: co innego mogliby sprzedawać, jeżeli nie produkty pracy własnej, albo usługi? Jest tak w teorii. Bastiat dodaje: musimy sobie wyobrazić, że na każdej sztuce monety są wydrukowane słowa: „Bon, wyobrażający taką a taką pracę dokonaną, takie a takie oddane usługi, dający posiadaczowi prawo domagania się wartości równoznacznej“. Wartość tedy, nabyta za cenę pieniądza, reprezentowałaby w takich warunkach pewien rodzaj zapłaty.

I gdybyśmy nawet wrócili do przykładu, dotyczącego znalezionej skarbu, zali można twierdzić, że każda moneta w tym skarbie wyobrażała pracę jakiegoś dalekiego przodka? Oczywiście, ale niema żadnego dowodu na to, że owe sztuki monet nie były ukradzione u człowieka, który je był zarobił, i że monet tych nie schował w ziemi jakiś baron, który je podstępem wyłudził od swoich poddanych.

Posiadanie pieniądza ma i ten jeszcze przywilej, że uwalnia od śledztwa, dotyczącego prawności jego pochodzenia, albo dotyczącego prawdziwości owego świadectwa, które tylko oczy Bastiat'a widziały wyryte na każdej sztuce pieniądza. Pieniądz, jak mówił cesarz rzymski, „nie posiada zapachu“, co znaczy, że jest jednakowo dobry bez względu na to, skąd pochodzi.

Gdyby nawet dowiedziono, że każda sztuka monety wyobraża pracę minioną, zali nie byłby to nadmierny przywilej, gdyby owa martwa praca miała uwolnić posiadacza od pracy dni dzisiejszych? Przypominam sobie, że w czasach, kiedy byłem w szkołach, panował w nich zwyczaj, którego nie znają szkoły dzisiejsze, a mianowicie, że dobrzy uczniowie bywali w pewien dziwny sposób uwalniani od zadań szkolnych; kto, mianowicie, dobrze wykonał zadania swoje, otrzymywał bon na sto, dwieście, albo tysiąc wierszy; kiedy zdarzyło się, że taki uczeń miał być ukarany, wyjmował z tornistra bon, odpowiadający karze na niego nałożonej, i w ten sposób był wolny od dodatkowych ćwiczeń za karę. Zali ten dziwny zwyczaj nie odpowiadał poglądom wyżej wyłuszczonej Bastiat'a: uwolnienie od pracy, od kary? Jakkolwiek bardzo często korzystałem z tego dziwnego systemu wychowawczego, wyznaję, że nie bez wyrzutów sumienia przyglądałem się kolegom, nieposiadającym takich dispens i zmuszonym do pracy za karę. Zali

te same skrupuły nie mogłyby być zgłoszone w wypadku określenia znaczenia pieniądza? Porzućmy wszelką troskę o moralną stronę pieniądza. Nie ma ona więcej uzasadnienia, niż ta druga odwrotna, którą napotykamy u niektórych moralistów, co widzą w pieniądzu narzędzie wyzysku i zguby, owe trzydzieści srebrników, za które człowiek sprzedał szatanowi duszę swoją. Gdyby każda sztuka złota mogła opowiedzieć historję swoją, historia ta nie byłaby zawsze budująca. Ta sama sztuka złota, przy której pomocy robotnik rolny otrzymał wynagrodzenie za swoją pracę, albo stanowiła oszczędność matki rodziny, może nazajutrz znaleźć się w rękach lichwiarza, zali ponosi z tego tytułu jakąś odpowiedzialność? Pieniądz jest jednym z najbardziej zadziwiających środków, wynalezionych przez człowieka, tak samo jak alfabet, albo system dziesiętny, który tak samo jak pieniądz może bez różnicy służyć dobru albo złu. Mówię: środek, narzędzie, w takim samym sensie, w jakim mówimy o narzędziach miar, albo wagi, o metrze, albo o litrze. Wszelki towar bywa mierzony ilością pieniędzy, które służą dla jego wymiany. Ta podwójna kontrola, podwójny proces miary, przez który przechodzi każda rzecz, nazywa się ceną. Cena rzeczy jest właśnie miarą ich wartości w pieniądzu.

Oto w jaki sposób idea miary wprowadzona została do stosunków ekonomicznych. Niemała to rzecz wprowadzić zasadę miary do nauki. Ekonomia polityczna stała się nauką i nie mogła nią zostać

wcześniej, niż owego dnia, kiedy w pieniądzu znalazła narzędzie miary, która pozwoliła im sprowadzić wszelką wartość do ilości.

Złoto i srebro mogą być zważone bardzo ściśle. I w ciągu długiego czasu w sprawach wymiany mieliśmy do czynienia z pieniądzem pod postacią bądź piasku złotego, bądź kawału srebra, które wążono. Niedawno w Chinach kupcy nosili z sobą wagi i przy każdym akcie kupna lub sprzedaży korzystali z wagi, nie w celu ważenia towaru, jak to czyni dzisiaj rzeźnik albo kupiec wiktuałów, jeno w celu ważenia pieniądza. Genjalny pomysł kazał przygotowywać sztuki srebra, posiadające pewną określoną wagę i umieszczając na nich pieczęć, świadczącą o ścisłości wagi. Nie wiadomo z całą pewnością, kto pierwszy zaczął bić pieniądze, wiadomo tylko, że miało to miejsce w Azji Mniejszej, w pobliżu tej samej Fenicji, która nam dała alfabet.

Ta właśnie chwila rozpoczyna epokę pieniądza we właściwym znaczeniu tego słowa, epokę bitego pieniądza. Wszystko, co nazywamy jednostkami monetarnymi: frank, funt szterling, marka, korona, dolar, złoty, czy floren, są to małe kawałki pieniądza, posiadające wagę określoną przez ustawę: tak na przykład frank francuski oznacza pręcik srebra (z dodatkiem pewnej ilości miedzi), ważący pięć gramów. Państwo kładzie na monecie swój podpis w postaci wizerunku władcy, albo jakiejś symbolicznej figury, aby zaświadczyć, że moneta waży tyle, ile na niej napisano. Podrabiacze tego

*

podpisu, to znaczy fałszerze pieniądza; karani są bardzo surowo; w czasach średniowiecza rzucono ich do kadzi, pełnych gotującego się oleju. Te przerażające kary tłumaczono koniecznością gwarantowania społeczeństwu zaufania do podpisu państwa, oznaczonego na kawałku metalu.

Od czasu dopiero, jak pojawił się pieniądz, można było myśleć o określeniu wartości wszelkiego towaru, a także o wartości usług każdego człowieka. Kiedy nam pismo święte opowiada, że patriarcha Abraham albo Hiob byli bardzo bogaci, że, mianowicie, posiadali olbrzymie stada i mnóstwo służących, niewiele to nam mówi o wartości ich majątku. Dziś atoli wiemy, aż do poszczególnych groszy czy centymów, jak wielki jest majątek każdego wogóle obywatela. Skarb wie też o tem i jest to jego wielkie szczęście, albowiem cóżby uczynił, gdyby nie posiadał narzędzia, któreby pozwoliło mu prowadzić rachunków, związanych z obliczaniem podatku dochodowego? Miara ta jest nie tylko bezwzględnie potrzebna dla skarbu, jest nią oraz dla każdego człowieka, prowadzącego interesy. Co czyni kupiec? Oblicza co go towar kosztuje i co za towar otrzymuje: różnica między temi dwiema cyframi stanowi o jego zarobku. Bez pieniądza nie może być mowy o urzeczywistnieniu słusznej ceny, a jeżeli mówię o słusznej cenie, rozumiem te wyrazy nie tylko w sensie słuszności arytmetycznej, ale i moralnej. W krajach afrykańskich, gdzie nie istnieje jeszcze ścisła miara pieniądza, gdzie panuje jeszcze

system wymiany, handel może być prowadzony tylko w warunkach olbrzymich różnic między ceną kupna i ceną sprzedaży, to znaczy, że kupiec sprzedaje swoje towary trzy i cztery razy drożej, niż wynosi ich wartość. Jeżeli Czarni padają ofiarą najbezczelniejszego wyzysku, winny jest temu po części brak pieniądza, któryby pozwolił określić właściwą cenę towaru. Powstanie pieniądza jest dla nich wyzwoleniem.

Co stanowi o wartości pieniądza? Wskazałem, dla jakich powodów pieniądz złoty jest wyższy od innych rodzajów bogactwa: dlatego, że pozwała zdobyć wszystko, czego człowiek pożąda, dlatego, że pozwała rządzić pracą bliźnich i uwalnia od pracy osobistej tego, który posiada, dlatego, że pozwała nieskończenie długo zachowywać jego wartość. Wszystko to jest słuszne, ale jednak, dlaczego pieniądz złoty posiada wszystkie te zalety? Powiedziałem, że złoto (a nawet srebro) zostały wybrane jako pieniądze dlatego, że były piękne i od najdawniejszych czasów stanowiły przedmiot pożądań ludzkich, nie tylko dlatego, że robiono z nich klejnoty dla kobiet, ale i korony dla panujących. Ten stan rzeczy trwa i dziś jeszcze na Wschodzie w tych krajach, w których moneta złota, albo srebrna, jest nie tylko środkiem wymiany, ale gdzie i ozdoby i wiano młodych dziewcząt składa się ze złotych cekinów, przyszywanych do pasa, albo do sukien, które noszą. Czasy te pozostawiliśmy daleko za sobą, i gdy u nas złoto miało służyć tylko do fabrykacji kolij,

pierścionków, bransoletek, zegarków, a srebro do fabrykowania talerzy i nakryć stołowych, nie byłoby to wystarczające do wytrzymania wartości olbrzymiego gmachu setek miliardów, które stanowią dzisiaj zapas monetarny narodów cywilizowanych. Trzeba, aby inne jeszcze czynniki podtrzymały tę wartość. I w podręcznikach ekonomji politycznej znajdziemy jedyne wytłumaczenie, a mianowicie, że pieniądz jest także towarem i że wartość jego sprowadza się do wartości handlowej metali, z którego się składa. Na pytanie: dlaczego moneta złota 20-frankowa warta jest 20 franków, słyszymy odpowiedź: „dlatego, że jeżeli zaniesiesz tę monetę do złotnika, ofiaruje ci za nią 20 franków“. Możemy monetę tę stopić, albo usunąć z niej emblematy państwowe (naprzykład przy pomocy młotka), pomimo tych rękoczynów moneta nie straci z wartości swojej ani jednego centyma, to znaczy, że jest niezależna od wartości monetarnej. Pieczęć państwowa i cyfra, wypisane na tej pieczęci, stanowią jakgdyby etykiety, przyczepione do towaru: mówią o wartości, ale jej nie tworzą. Ale jakże w takim razie wytłumaczyć wartość biletu bankowego?

Przecież nie przy pomocy określenia wartości papieru, jakkolwiek papier ten jest bardzo piękny i wiele kosztuje. Dlatego, mówią, że bilet ten oznacza kwotę złotą, albo srebrną, równą tej, na którą opiewa i na którą może być wymieniony, o ile tego zażąda właściciel. Bywa tak w czasach normalnych, ale nie dzisiaj. Bank Francji miałby nie-

mały kłopot z wymianą na złoto 38 miliardów biletów, znajdujących się w obiegu, ile że w kasach swoich posiada zaledwie sześć miliardów złota i srebra. I państwo francuskie byłoby niezdolne do wymiany tych wszystkich biletów; dowód najlepszy, że nie mogło dotychczas zwrócić Bankowi Francji 27 miliardów, które w Banku tym pożyczyło. Nie należy tedy mówić, że bilet bankowy musi być wymieniony na złoto i nie należy w ten sposób tłumaczyć jego wartości. Tłumaczenie podobne nie jest wystarczające w czasach normalnych, albowiem, jeżeli otrzymujemy bilet bankowy, nie myślimy o tem, aby pójść zaraz do Banku Francji i wymienić go na złoto i srebro. Przyjmujemy bilet bankowy nie poto, aby wzamian otrzymać brzęczące złoto, ale poto, aby go wydać, i dlatego, że mamy pełne zaufanie (uzasadnione doświadczeniem każdodziennem, a także usankcjonowane przez ustawę), że kiedy nabędziemy w sklepie towar, albo będziemy chcieli dług zapłacić, kupiec, albo wierzyciel, przyjmą bilet, opiewający na 100 franków, za pełne 100 franków.

Jeżeli otrzymujemy pieniądz metalowy, nie przychodzi nam nigdy na myśl pójść i sprzedać go złotnikowi. Bierzymy monetę złotą i srebrną dlatego, iż wiemy, że w każdym wypadku będzie od nas przyjęta za cenę, na którą opiewa i dlatego słusznie mówią, że o wartości pieniądza stanowi zaufanie powszechne, znajdujące swój wyraz

w przeświadczeniu, że każdy człowiek pieniądz ten przyjmie *).

Wartość pieniądza spoczywa tedy na umowie wzajemnej wszystkich jego właścicieli — bądź gdy chodzi o pieniądz danego państwa (bilet bankowy); bądź też, gdy chodzi o pieniądz międzynarodowy (złoty), że każdy z nich pieniądz ten przyjmie. Widzimy to samo przy stoliku karcianym, gdzie zamiast używać monet, czy biletów bankowych, grający w karty używają żetonów białych, zielonych i czerwonych, które posiadają wartość umówioną i które w końcu gry przyjmowane są bez względu na ich wartość wewnętrzną. Zupełnie to samo ma miejsce w wypadku pieniędzy, z tą różnicą, że żetony złote, albo srebrne, zamiast posiadać wartość, opartą tylko na umowie czterech partnerów, grających w bridge'a, albo w winta, albo w sześćdziesiąt sześć, posiadają wartość, spoczywającą na umowie, wzajem obowiązującej kilkaset milionów ludzi.

*) Zauważmy, że jeżeli jest prawdą, że krążek złota, który stanowi monetę 20-frankową, wart jest 20 franków, jest tak nie dlatego, że robi się ze złota klejnoty, a właśnie dlatego, że przeważnie bije się ze złota monety. Głównymi nabywcami złota nie są złotnicy, a tylko mennice. Rozumowanie w rodzaju powyższego jest rozumowaniem błędnem i jest błędnem kołem. Gdyby było prawdą, że wartość pieniądza nie posiada innej podstawy, jak tylko wartość handlową metalu, wartość ta niewieleby znaczyła, i aby się przekonać o tem, wystarczy zadać sobie pytanie, coby zostało z wartości tych monet w dniu, w którymby uległy demonetyzacji?

Charakter umowny wartości daje się odnaleźć na każdym kroku. Kiedy kobieta kupuje kolję pereł, kosztującą sto tysięcy franków, czyni to dlatego, że przypuszcza, że od tych pereł będzie piękniejsza, a kiedy „nowobogacki“ kupuje sobie pałac, czyni to w przekonaniu, że będzie tam żył szczęśliwy. Być może, że się mylą, mniejsza o to, jednak, gdy chodzi o bogactwa w naturze, ten akt wiary jest jakgdyby zamaskowany wartościami rzeczywistymi, przyrodzonymi tych dóbr, pięknnością pereł, komfortem i wspaniałością pałacu, podczas gdy mamy do czynienia z monetą złotą, albo srebrną, albo z brudnym biletem bankowym, niema wątpliwości, że materia surowa, z której pieniądze te są zrobione, dodaje niewiele pożytku rzeczywistego ich wartości: wartość ich nie posiada innej podstawy, jak tylko wiarę (kredyt), której im użyczają obywatele danego kraju wszyscy i każdy z osobna. Co znaczy, że w ostatecznem rozumieniu o wartości pieniądza stanowi, jak to głosił socjolog Gabriel Tarde — *wiara*. Jest to prosty akt wiary wzajemnej, w którym każdy w szczególności wierzy w wartość pewnej rzeczy dlatego, że jego bliźni w to wierzą, i wiary te zębiają się wzajemnie jedne o drugie tak silnie, tak mocno, że tworzą jakgdyby łuki tak mocne, jak łuki, na których spoczywają kościoły. Alić jeżeli wiary te ulegają zwątpieniu, wszystko zapada się. Jesteśmy świadkami takiego właśnie widoku w pewnej znacznej części kontynentu europejskiego.

ROZDZIAŁ IV.

WŁASNOŚĆ I DZIEDZICZENIE.

Ludzie często mówią, że własność jest podstawą porządku społecznego. Jest to w każdym razie jedna z najpotężniejszych instytucyj, nie tylko ekonomji politycznej, ale i cywilizacyj. Nie mam zamiaru opowiadać w tym krótkim rozdziale szczegółowej historii tego urządzenia. Wskażę tylko, jak powoli w biegu tysiącioleci tworzyła się ta „podstawa cywilizacji“ i jak dzisiaj weszła na drogę przemiany, albo właściwie rozkładu.

Rozwój własności. Widzieliśmy już, jak przywłaszczenie występuje w dziejach ludzkości pod postacią najpierwotniejszą, uwarunkowaną potrzebą fizjologiczną odżywiania. Mówiliśmy o tem, co człowiek spożywa, co połyka, albo co kładzie do ust (dzieci, wiewiórki); wskazywaliśmy na to, że formy te są niezaprzeczalnymi objawami brania w posiadanie tych czy innych, przedmiotów. Na tym stopniu rozwoju posiadanie zlewa się ze spożyciem. Jednak poczucie przywłaszczenia obejmuje szybko wszystkie przedmioty, których ręka może dotknąć. Wszyscy studenci prawa wiedzą, że w prawie rzym-

skiem sposób zasadniczy brania w posiadanie przedmiotu nosiło nazwę „mancipatio“, to znaczy branie ręką. Inaczej, pierwotnie tylko przedmioty, których można było dotknąć ręką, albo brać do ręki — były uważane za takie, które mogą być przywłaszczone. Dotyczyło to przedewszystkiem przedmiotów, wychodzących z rąk człowieka, jako objawów jego pracy. Dotyczy to pierwszych narzędzi i pierwszych rodzajów broni z kamienia ciosanego, albo gładzonego, lub ubioru (odzież). Z biegiem czasu przedmiotem własności stawały się zwierzęta domowe. Później przyszła kolej na niewolników. Kobiety należały do najpierwszych przedmiotów własności. W dawnych czasach i dom mieszkalny był przedmiotem ruchomym, albowiem był nim szalas. W owych czasach pierwotnych szalas, namiot najpierwotniejszy, nie różnił się niczem od odzienia. Czem jest dla ślimaka jego skorupa? Odzieniem, czy domem? I u dzikiego namiot związany jest z osobą. Dlatego właśnie stał się przedmiotem własności (i zwierzęta posiadają poczucie własności, o ile to dotyczy ich gniazda albo barłogu). Tutaj własność zmienia trochę charakter swój, przestaje być wyłącznie indywidualna, jak to było z łukiem i strzałami, albo z ozdobami głowy, czy tułowia — staje się rodzinną. Dom przestaje być wyłączną własnością mężczyzny, jest przedewszystkiem własnością kobiety i dzieci. Zali gniazdo ptasie może nie być przedmiotem własności? Jest to własność najbardziej święta i w całym świecie ptasim niemasz ptaka bardziej

pogardzanego niż ten, który wkłada się do gniazda sąsiada i nosi nazwę kukułki. Nietylko przedmiot własności ulega zmianie, ale także jej podstawa. Gdy chodziło o własność indywidualną, tworzyła ją praca albo zabór. Gdy chodzi o własność domu, tworzy ją zbliżenie wzajemne płci i wychowanie dzieci. Krótko mówiąc: miłość tworzy to, co my i Francuzi tak pięknie nazywamy ogniskiem (le foyer), a co przewyższa o wiele charakter odpowiedniego wyrazu angielskiego — „home“. Idźmy trochę dalej. Wokoło domu, który przestał już być szałasem nomadów albo grota człowieka jaskiniowego, a stał się domem w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, „ogniskiem“, to znaczy mieszkaniem stałym, własność promieniuje wokoło, zupełnie tak samo, jak światło promieniuje wokoło ogniska. Obejmuje wszystko wokoło, ogródek i cały teren, który służy do żywienia rodziny. Pierwsza forma własności nieruchomości jest to jakgdyby przedłużeniem domu stałego, w którym rodzina mieszka. U Rzymian, do których trzeba zawsze się cofać, kiedy chcemy poznać początki i historję własności nieruchomości, przed wojnami punickimi, to znaczy do r. 200 przed Narodzeniem Chrystusa, nie było innej własności ziemskiej, jak tylko mały okólnik, zwany *juger* (mniej więcej ćwierć hektara), okalający dom mieszkalny; atoli własność nie zamknęła się tylko w ciasnych granicach, których może dotknąć ręka, albo ogarnąć oko. W miarę jak pług worywał się w ziemię, własność szła za pługiem tak daleko, jak pług się-

gał, i tam u końca brózd rozoranej budowano kopic graniczny, którego strzegł bóg, specjalny bożek Termus. Właściciel umieścił kołek graniczny, zali go uszanuje? Nie, własność nienasycona, posunie się w nieskończoność, obejmie, zajmie wszystką ziemię wolną. Własność pierwotna stanie się „wielką własnością“, taką, która będzie już nie tylko urządzeniem ekonomicznym, ale i politycznym, urządzeniem, które da życie feudalizmowi i szlachcie. Jakiem prawem? Gdy chodziło o własność ruchomą, albo o najdrobniejszą własność nieruchomą, gdy chodziło o przedmioty, które człowiek brał do ręki, albo o dom, w którym budował ognisko swoje i umieszczał swoje penaty, albo o kawałek ziemi, który uprawiał jego pług, mieliśmy do czynienia z braniem materialnym w posiadanie; jednak gdy chodzi o wielką własność, jak tłumaczy ona prawo swoje? Przecież własność olbrzymich przestrzeni, jak to ma miejsce w Anglii, w Rosji (za caratu), we Włoszech, w Ameryce, albo i w Polsce, własność, obejmująca tysiące hektarów, nie może opierać swojego prawa na zasadzie istotnego, rzeczywistego, zajęcia tej ziemi, ani na pracy użytkownika, albowiem te olbrzymie przestrzenie, jeżeli były uprawiane, to tylko przy pomocy niewolników, poddanych, albo drobnych dzierżawców, pracujących na rzecz posiadaczy. Jakież są tedy tytuły pierwotne wielkiej własności? Jest nią zabór. Historia pod tym względem nie pozostawia wątpliwości. Zabór, który znalazł sobie wyraz przede wszystkim w zaborze przy pomocy broni, albo na

drodze wywłaszczenia właścicieli pierwotnych, wywłaszczenia dokonanego na drodze ustaw, które były dziełem tych samych zdobywców ziemi. Rzymianie pod tym względem nie oddawali się żadnym złudzeniom. Własność ziemi, wedle ich przekonania najbardziej godna szacunku, była dziełem wojny: własność, którą nazywali własnością „kwirycką“, z mocy prawa oznaczała pierwotnie człowieka, który nosi lancę żołnierza, była to własność, którą stworzyło żelazo, nie żelazo pług, ale żelazo lancy wojskowej (sub hasta). W tym kierunku szedł rozwój prawa własności w przestworzu wieków. Odnajdziemy te same etapy w dziejach tworzenia się wielkiej własności landlordów angielskich. Nasamprzód zdobycze normandzkie, a następnie podział na domeny, wpisany do słynnej *Domesday Book*, która to księga stanowi urzędowy rejestr podziału ziemi angielskiej pomiędzy zdobywców. Wreszcie znacznie później pierwsze domeny szlachty zostały powiększone przez wchłonięcie mniejszych domen pierwotnych posiadaczy, którym udało się własność swoją uchronić od zaborców normandzkich.

Później nastąpiły czasy zaboru Irlandji, i rzeczą jest powszechnie wiadomą, jakie były skutki polityczne tego nowego wywłaszczenia. Pewien kaznodzieja irlandzki opowiadał pewnego razu, wobec chłopskich słuchaczy, którzy śmiali się do rozpuku z ciekawej historii: „Pewnego dnia odwiedziłem folwark pewnego właściciela ziemskiego, który mi powiedział: „Wyjdź stąd, ta ziemia do mnie należy“.

Odpowiedziałem mu: „Dlaczego, od kogo masz tę ziemię?“ „Odrzekł:“ „Od ojca“. „A ojciec twój miał ją od kogo?“ „Od dziadka“. „A twój dziadek?“ Wtedy on zniecierpliwiony rzecze do mnie: „Zdobyl ją, bijąc się o nią“. „Doskonale, odrzekłem, zdejm kurtkę, zaczniemy się bić i zobaczymy, do kogo ta ziemia będzie należała“.

Powołaliśmy się na przykład Wielkiej Brytanji, ale historia ta powtórzyła się wszędzie, nawet w Ameryce. Nieraz opowiada się o pierwszych kolonistach w Ameryce, że zdobyli oni ziemię amerykańską, jako drwale, którzy karczowali lasy odwieczne, a potem przy pomocy pługa przeorali prerie amerykańskie; gdy tak mówimy, zapominamy, że wywłaszczali oni, zdobywając tę ziemię, Czerwonoskórych. Tak było we wszystkich kolonjach, a nie zapominajmy, że wszystkie nasze stare kraje europejskie, w szczególności zachodnio-europejskie, były niegdyś kolonjami rzymskimi i że ta sama historia powtarzała się po dziesięć razy.

Takie początki własności ziemskiej nie mają na celu odmawiania praw do ziemi dzisiejszym właścicielom, albowiem owe początki na drodze zaborów zostały wielokrotnie przez nieskończone łańcuchy tytułów prawnych przysłonięte: na drodze sprzedaży, dziedziczenia, przenoszenia tytułów własności, a także przedawnienia; ale jeżeli zaczniemy przekopywać te nieskończone warstwy tytułów prawnych i dokopujemy się do najdalszych początków, wszędzie i zawsze spostrzeżemy, że u prapoczątku

wszelkiej własności ziemskiej znajduje się zabór i brutalna zdobycz. Gdyby można było gdziekolwiek bądź na szerokim świecie, nawet we Francji, w której ze wszystkich krajów własność ziemska jest oparta na najrozumniejszych, bo powszechnych, chłopskich podstawach, znaleźć kawałek ziemi, który od chwili, kiedy stanęła na nim po raz pierwszy stopa człowieka, który go uprawił, pozostał w posiadaniu tego pracownika i jego nieskończonego łańcucha spadkobierców, wierny sojusznik pracy człowieka, byłoby to jednym z najciekawszych odkryć, któreby należało umieścić pod szkłem, zaopatrzonem w napis uroczysty, albowiem byłby to jeden z najrzadszych dokumentów w dziejach ludzkości.

Własność nie ograniczyła się tylko do zaboru ziemi. Uczyni ona jeszcze jeden skok olbrzymi: stanie się własnością nie materialną, jakże różną od owej własności pierwotnej, o której mówiliśmy przed chwilą, od owoców, które mogą być dotknięte rękami człowieka; stanie się tem, co się nazywa wartością ruchomą. Ta wartość jest dzisiaj majątkiem największej ilości ludzi (we Francji). Jest obok nich pewien procent właścicieli domów i ziemi, ale olbrzymia większość ludzi, którzy należą do burżuazji, albo do kapitalistów, majątek swój trzymają w kasie, w „portfelu“, w postaci kawałków papieru, pokrytych cyframi i wizerunkami. Na jednych widnieją widoki kopalń węgla albo stacyj kolejowych w górach, albo kanału Sueskiego, albo widoki da-

lekich kopalń złota w Transwalu i Rio-Tinto. Azali właściciele widzieli kiedykolwiek owe kopalnie, albo owe kanały? Nigdy. Zali wiedzą, gdzie się te kopalnie znajdują? Nie wszyscy. Te tytuły własności nie opiewają nawet na ich nazwiska. Należą do okaziciela, jak na nich wydrukowano. Są anonimowe, właściciele posiadają tylko poprostu numery, liczby wydrukowane na kawałkach papieru. I jeżeli mówię, że właściciele przechowują owe kawałki papieru w portfelu, przesadzam. Tylko bardzo drobni kapitaliści przechowują papierki zadrukowane w domu. Zamożni kapitaliści przechowują je u bankiera. Bankier daje właścicielowi potwierdzenie odbioru, jego tytuł własności oraz książeczkę czekową, do której wpisują w razie potrzeby, w razie kupna jakiegoś przedmiotu, albo wpłaty pewnej kwoty pieniężnej, sumę, której w danej chwili potrzebują. Książeczka czekowa oto jest własność dzisiejsza, oto jest wielka własność, własność ludzi bogatych.

Pierwsze formy własności indywidualnej były jakgdyby przywiązane do osoby, były to jakgdyby organa zewnętrzne, w których znajdowała sobie wyraz osobowość właściciela. Odgrywały taką rolę, jak skorupa wobec ślimaka. W wypadkach, o których mówiliśmy przed chwilą, mamy do czynienia z własnością, która utraciła swoje formy jakgdyby cielesne, która jest tem, co spirytyści nazywają „ciałem astralnym“, które to ciało, jak myślą spirytyści, istnieje rzeczywiście i otacza ciało materjalne.

Ewolucja przedmiotów własności w przestwo-

rze czasu została doskonale opisana przez Jana Jaurès'a w jego „Studjach socjalistycznych“ (*Études socialistes*): „Własność włościanina jest częścią jego życia. Własność ta dźwigała jego kołyskę; sąsiaduje z cmentarzem, na którym spoczywają jego przodkowie i gdzie on spocznie na zawsze, kiedy przyjdzie kolej na niego. I z wysokości drzewa figowego, które przysłania wejście jego domu, widzi cyprys, który czuwać będzie z czasem nad jego snem ostatnim. Jego własność jest częścią jego bezpośredniej ojczyzny, ojczyzny miejscowej, tego skrótu wielkiej ojczyzny... Dawniej ludzie szukali w gazetach wszystkiego, co nie dotyczyło ich własnego życia. Nie brali do ręki gazety, ażeby dowiedzieć się, jak wielki jest ich majątek i jak wielkie będą ich dochody. Dzisiaj niema kapitalisty, któryby nie był obowiązany czytać codziennie gazety, ażeby wiedzieć, co się dzieje z jego majątkiem. Własność stała się tak obcą i tak daleką właścicielowi, że aż za pośrednictwem dziennika otrzymuje wiadomości tej własności dotyczące“. — Jest to szczerza prawda, przyjrzyjcie się ludziom, którzy na bulwarze kupują dziennik wieczorny. Zobaczycie, że zaczynają czytać od ostatniej strony, od miejsca, gdzie wydrukowana jest ceduła giełdowa. Szukają, jak wysoki jest kurs ich akcji, ich rent, ich obligacyj, i z dziennika dowiadują się, czy w ciągu dnia od wczorajszego wieczora stali się bogatsi albo biedniejsi i o ile wzrósł albo zmniejszył się ich majątek. Czy własności w tej postaci nie grozi niebezpieczeństwo zmniejszania się,

aż do ostatecznego wyczerpania? Nie mówię tego w tym sensie, żeby własność była wystawiona na większe ryzyko niż to, które grozi własności materialnej. Nie, przeciwnie, nie grozi jej, albo grozi znacznie mniej niebezpieczeństwo kradzieży, jakie grozi pończosze, w której chłop gromadzi swoje oszczędności, ile że bankier strzeże tej własności i strzeże jej dobrze. Ale ta własność ruchoma jest bardzo niepewna w tym sensie, że w dniu wybuchu jakiegokolwiek rewolucji wystarczy byle jakiego podmuchu, ażeby cała ta masa papieru rozleciała się po świecie.

Własność uległa rozwojowi nie tylko pod względem przedmiotu, ale i pod względem praw. Jakimi cechami odznacza się własność? (Dotychczas odpowiedzieliśmy jej historję, ale nie podaliśmy określenia własności.) Co to jest w istocie rzeczy własność prywatna, własność indywidualna? Jest to prawo posiadania rzeczy, z wykluczeniem prawa do niej każdej osoby trzeciej. Pierwotnie własność była tylko prawem korzystania z pewnej rzeczy pod kątem widzenia zadosyćczynienia potrzebom własnym, ale czy tak pojęta własność posiadała także cechę, która wydaje się z nią bezwzględnie związaną, mianowicie prawo wymiany danej rzeczy na rzecz, należącą do osoby trzeciej? Nie, bezwątpienia! Widzieliśmy bowiem, że wymiana jest aktem, który domniemywa istnienie pewnego wysiłku moralnego i warunków ekonomicznych, dosyć złożonych. Zwróciłem już uwagę wyżej na niechęć, jaką odczuwa człowiek

pierwotny, gdy chodzi o odstąpienie rzeczy, które posiada, osobie trzeciej. Owa niechęć z natury rzeczy zniknęła owego dnia, kiedy zaczęto produkować te czy owe rzeczy na sprzedaż, to znaczy owego dnia, kiedy na drodze podziału pracy stały się one towarami. Jednak ani dom, ani ziemia nie były towarami. Były więcej niż własnością indywidualną, były własnością rodziny. Były czemś więcej jeszcze, były własnością uświęconą przez przodków, na tej ziemi pochowanych, uświęconą przez penaty, które wyobrażały przodków i którym codziennie rano ofiarowywano oliwę i wino; dziś jeszcze w religjach Wschodu, w Chinach, obrazy przodków czuwają nad główną izbą mieszkania, niby anioł stróż rodziny. Innemi słowy, własność należała do martwych w takim samym stopniu, jak do żyjących, a należała też do tych, którzy przyjdą po żyjących. Rzeczy uświęcone nie znajdują się w handlu wymiennym.

Dziedziczenie. Jednak prawo indywidualne do rzeczy potrafiło powoli wyodrębnić się ze współwłasności zbiorowej, nawet ziemskiej. Prawo rzymskie pod tym względem daje nam przykład, zasługujący na szczególną uwagę. W prawie tem prawo indywidualne znalazło sobie wyraz w prawie sprzedaży, najmu i pożyczania (o tem w rozdziale następnym). Ale, jeżeli prawo własności konsoliduje się w taki oto coraz bardziej absolutny sposób na głowie jednostki, czemuże stanie się owego dnia, kiedy, posłuszny prawom natury, osobnik ten umrze i w taki sposób prawo jego nie będzie miało żadnego ży-

wego wyrazu? Jest to moment krytyczny. Jak sobie ludzie z nim poradzą? Jeżeli chodzi o własność pierwotną, ludzie poradzą sobie w ten sposób, że powiedzą: „własność pójdzie za właścicielem“. A więc do grobu — narzędzia, przy pomocy których nieboszczyk pracował, do grobu klejnoty, które służyły do ubierania jego małżonki, do mogiły pies wierny, który wytrapiał nieboszczykowi zwierzynę, koń, na którym jechał na wojnę! Do grobu jego niewolnicy i jego żony! I dzisiaj jeszcze pozostały ślady tych dziwnych zwyczajów. I dziś jeszcze kładą do trumny klejnoty, i dziś jeszcze oglądać można w czasie pogrzebu generałów konia, którego zazwyczaj dosiadał. Dziś już konia nie zabijają, ale ten zwyczaj dzisiejszy przypomina czas, kiedy koń szedł za właścicielem do cmentarnego dołu. Co dotyczy kobiet, to względnie niedawno, bo dopiero w połowie XIX wieku, Anglicy znieśli na drodze przymusu dawny, okrutny zwyczaj indyjski, który żądał, aby żony Indusów ginęły na stosie, na którym paliły się zwłoki ich małżonków. We wszystkich tych zwyczajach znajduje sobie wyraz przekonanie, że własność nie kończy się ze śmiercią właściciela i że nieboszczyk odnajduje w przyszłym życiu, w życiu po śmierci, broń swoją, narzędzia, niewolników i żony, i dlatego trzeba wszystkie te przedmioty i wszystkie te istoty żywe wraz z nim do jednego złożyć dołu. Przesady te można poniekąd uważać za szczęśliwe, ile że dzięki nim przecho- wało się mnóstwo przedmiotów, którym zawdzię-

czamy wiadomości o cywilizacjach starożytnych wiadomości, zdobyte dzięki tym przedmiotom materialnym, były pewniejsze, niż opisy zawarte w książkach; przedmioty takie odnaleziono w wielkiej ilości w grobowcach egipskich, etruskich, gallo-rzymskich, greckich, zapełniających nasze muzea.

Jednak nie można było włożyć do grobu ani domu, ani własności ziemskiej. Co należało z niemi uczynić? Owóż własność ta stanie się częścią własności zbiorowej, z której się na chwilę wyodrębniły bądź własności rodzinne, bądź własności plemienne. Gdy w kraju niedawno jeszcze dzikim, dziś już ucywilizowanym przez misjonarzy protestanckich, w kraju Basutów w Środkowej Afryce, umiera człowiek, spadkobiercy mają prawo zabrać nietylko meble, ale i wszystko to, co może być od domu odjęte, a co dla nich stanowi wielką wartość, jako to: drzwi, okna, belki i dachówki, ale dom, czy to co pozostaje z domu, wraca do plemienia. U Rzymian własność domu i ziemi stanowiła bardzo długo własność rodzinną. Naczelnik rodziny (pater familias) posiadał prawo bezwzględne do wszystkich tych dóbr, tak samo zresztą jak do dzieci i do żony, ile że reprezentował rodzinę, tak samo, jak król reprezentuje państwo. Ale, kiedy umierał, dobra przechodziły do rąk innych członków rodziny, wtedy nawet, kiedy oni sobie tego nie życzyli (heredes necessarii, spadkobiercy obowiązkowi).

Jednak własność indywidualna nie ograniczyła się tylko do tego, aby być dożywotnią: chciała być

stałą i wieczną i szukała osoby, przy której mogłaby pozostać w każdym wypadku śmierci. Z natury rzeczy znalazła tę osobę w synu, albo w najbliższym krewniaku zmarłego, już nie w postaci zbiorowej własności rodzinnej, jak to bywało niegdyś w stosunku do plemienia, albo jak dziś jeszcze jest w stosunku do serbskiej zadrugi, ale w postaci własności indywidualnej, to znaczy w sensie podziału własności pomiędzy pozostałych przy życiu członków rodziny. Później prawo własności zostało związane z osobą, na którą wskazał zmarły. Co znaczyło, że zmarły aktem ostatnim woli wyrażał chęć, aby osoba jego trwała dalej w postaci wybranego i uprzywilejowanego spadkobiercy. Prawo wyrażania ostatniej woli i wyrażania w testamencie nakazu co ma się stać z własnością po śmierci właściciela, jest największem prawem, jakie może osiąść jednostka, jest uświęceniem własności indywidualnej w formie najbardziej absolutnej; dalej iść niesposób poprostu.

Atoli dziedziczenie testamentowe nie usunęło zupełnie dziedziczenia bez testamentu (ab intestat). Prawodawca wogóle dba więcej o obronę zasady dziedziczenia beztestamentowego, to znaczy o obronę własności rodzinnej, przeciwko wszechmocy własności indywidualnej, znajdującej swój wyraz w wolności rozporządzania majątkiem. I tak, we Francji, prawo dowolnego rozporządzania majątkiem na wypadek śmierci nie służy bezwzględnie właścicielowi, ile że ojciec rodziny może rozporządzać majątkiem swoim tylko w pewnych przez prawo

ograniczonych rozmiarach, nie może on bowiem w zupełności dzieci swoich wydziedziczyć. Jednak dziedziczenie beztestamentowe traci coraz bardziej grunt pod nogami, jeżeli do niedawna jeszcze członkowie rodziny bardzo odległej, kuzynowie w dwunastym stopniu, mogli zgłaszać prawa swoje do spadku. Koło tych ewentualnych spadkobierców ścieśnia się coraz bardziej i ustawy cywilne coraz bardziej ograniczają koło spadkobierców do członków najbardziej bezpośrednich w rodzinie. Dziedziczenie beztestamentowe zostało ograniczone nie tylko pod kątem widzenia wolności dziedziczenia; dziedziczenie to zostało ograniczone także ze względu na interes państwa, które zastąpi miejsce spadkobierców, od działów odsuniętych. Stajemy tutaj wobec zmiany zasadniczej w linii rozwoju społecznego. Rozwój ten szedł bardzo długo w sensie indywidualizacji, nastaje czas, kiedy własność staje się znowu społeczną, wraca w ten sposób do początków swoich. Odbywa się tutaj ewolucja w sensie koła, sprawa, która powtarza się w historii ludzkości bardzo często.

Uspolecznienie własności. Należy uświadomić sobie, że wszelka własność jest w pewnej mierze dziełem zbiorowem. Dotyczy to wszelkiej własności, tak samo jak dotyczy własności najwspanialszej, jaką jest własność autora do jego książki. Nikt nie zaprzeczy, ile jest potęgi twórczej w tem czy owem arcydziele literatury pięknej, a jednak każdy z tych wielkich autorów, tworząc arcydzieło swoje, zapożyczał bądź u historii, bądź u autorów wiado-

mości i pomysły, i gdy się nad każdym z tych arcydzieł zastanowimy bliżej, przyjdziemy do przekonania, że własność, którą dla autorów ich stanowią, jest w początkach swoich, w szerokim w tego słowa znaczeniu, zbiorową. Owóż to samo dotyczy rzemieślnika, który szyje buty, albo rzemieślnika, który plecie przedmioty z trzciny; nikt mu nie odmawia prawa własności do owoców pracy jego, a jednak własność tę zawdzięcza on wszystkim tym, którzy go poprzedzili, wszystkim tym, którzy nauczyli go rzemiosła, tradycjom rzemieślniczym, przekazywanym z pokolenia w pokolenie, nie mówiąc już o tych, którzy nabędą jego buty, albo jego koszyki: gdyby tych ostatnich nie było, jego buty i jego koszyki nie byłyby nic warte, pomimo całej jego doskonałej i nieskończonej pracy. Jeżeli wszelka własność mniej lub więcej zawdzięcza swoje powstanie i swoje istnienie pracy wszystkich, to powinna być też użytkowana w interesie wszystkich, wyłączając tę jej część, która może być spożyta przez samego producenta, która może być użytkowana na jego potrzeby; ta część wszakże jest tylko najmniejszą częścią ogólnego bogactwa. Własność indywidualna jest tylko etapem indywidualizacji między dwoma stanami własności zbiorowej, z których jeden przypada na początek, a drugi na koniec jej rozwoju. Jest to jak-gdyby trzon drzewa, którego korzenie sięgają głębokich pokładów ziemi, a którego gałęzie strzelają wysoko w niebo. Trzon jednak jest bardzo ważny i byłoby rzeczą mało przezorną, gdybyśmy go ściąć

chcieli. I ci nawet, którzy nie są socjalistami, zgadzają się na to, że własność powinna stawać się coraz bardziej społeczną, co znaczy, że powinna być rozpatrywana ze stanowiska pożytku społecznego. Niewiele nas już dzisiaj zajmują kwestje, związane z jej pochodzeniem, ani roztrząsania, czy źródło jej spoczywa w pracy, albo w zaborze, w zajęciu siłą, albo w przedawnieniu, albo w prawie przyrodzonym, obchodzi nas raczej tylko pytanie, jakie własność oddała usługi i jakie oddać może ekonomji zbiorowej. Jakie będą praktyczne konsekwencje takiego stanowiska zasadniczego? Wskażemy pokrótce na niektóre z tych skutków praktycznych.

Przedewszystkiem, jeżeli własność ma za podstawę swoją zasadę użyteczności społecznej, trzeba, żeby była pożyteczna, i jeżeli właściciel nie wyciąga z własności swojej wszelkiego pożytku, jaki ona mieści w sobie, traci on wszelkie prawo do wykonywania funkcji właściciela. Ziemia, naprzykład, istnieje poto, aby była uprawiana, a właściciel nie ma prawa dopuścić do tego, aby ziemia jego leżała ugiorem. Bywało tak jednak, bywało tak we Francji do wojny, albowiem wszędzie szanowano prawo własności, rzymskie prawo własności absolutne „używania i nadużywania“ (jus utendi ac abutendi) własności, co znaczy, że właściciel mógł swobodnie ziemię swoją pozostawiać bez uprawy, albo, jak to bywało niegdyś w Anglii, wypędzać całe wsie chłopskie i przeobrażać pola, które ludność ta uprawiała i z których żyła, w tereny myśliwskie, na których

uganiano się za bażantem, albo za kuropatwą. Dziś nam trudno zrozumieć jak to się stać mogło, ale tak było i było tak do niedawna.

We Francji za czasów wojny rząd zagroził właścicielom ziemskim, że o ileby pozostawiali ziemię swoje ugorem, sąsiad będzie te ziemi uprawiał, a na wypadek, gdyby nie było sąsiada, uprawiać ziemię będzie gmina. Postanowienie to stanowi bardzo ciekawą ilustrację nowego poglądu na własność. Należy zaznaczyć, że nowa ustawa nie była wszędzie stosowana, jednak znalazła zastosowanie w niektórych prowincjach Francji, a nawet powołano do życia spółki specjalne, których zadaniem było uprawianie ziem, porzuconych przez właścicieli. Pojęcie rzymskie własności nie było zresztą wcale powszechne na ziemi. Prawodawstwo muzułmańskie naprzykład uznaje własność indywidualną do ziemi tam tylko, gdzie właściciel te ziemi uprawił, albo nawodnił, co Koran nazywa odżywianiem ziemi. Jakkolwiek, niestety, ziemia pod panowaniem muzułmanów była jak najmniej „odżywiana”, zasada, którą Koran głosi, pozostaje mimo to bardzo piękną i o wiele wyższą, niż zasada rzymskiej własności. Nawet we Francji znajdujemy wiele objawów tego nowego na własność poglądu. W dzielnicach, w których istnieje wiele ziemi, nadającej się do osuszenia, albo wiele ziemi, nadającej się do nawodnienia, albo wiele majątności ziemskich tak podzielonych i rozdrobnionych, że uprawa ich staje się prawie niemożliwą, wolno tworzyć przymusowe

związki właścicieli, którzy mają prawo przymuszania właścicieli do ponoszenia przypadających na ich głowy kosztów uprawy, to znaczy osuszania, irygacji albo komasacji ich własności. W tem prawie kryje się zamach na zasadę własności prywatnej, zamach w imię interesu powszechnego, kryje się obowiązkowa solidarność. Właściciel woła: „Jestem przecież władny nie polewać, albo nie osuszać mojej ziemi“. Odpowiedź brzmi: „Nie, nie jesteś władny tego czynić; jesteś obowiązany użytkować ziemię swoją dla dobra wszystkich“. I właściciel nie powinien mówić egoistycznie: „moja ziemia“, a tylko: „nasza ziemia“.

Istnieje poza tem zasada wywłaszczenia „w interesie pożytku publicznego“, jak brzmi oficjalna nazwa ustawy, i sam tytuł jest dostatecznie charakterystyczny. Ustawa ta była stosowana w wypadkach rzadkich i zaopatrzona była w nieskończone zastrzeżenia, broniące interesów właścicieli, tak dalece, że nie było we Francji lepszego interesu dla właściciela, jak być wywłaszczonym, i wystarczyło, aby tej czy innej własności „groziło“ wywłaszczenie, aby cena, wartość tej nieruchomości rosły w sposób nadzwyczajny w górę. Zasada wywłaszczenia w imię pożytku publicznego została ostatnio nadzwyczajnie rozszerzona w republikach, oderwanych od dawnej carskiej Rosji, a także w Grecji i Rumunji. W krajach tych dokonano wywłaszczenia wszystkiej większej własności. W krajach tych w ostatnich kilku latach wywłaszczono na drodze

ustawy wszelką własność, przewyższającą pewną określoną powierzchnię. Nie chodzi tutaj o przemianę własności indywidualnej na własność zbiorową; przeciwnie, we wszystkich tych krajach chodzi prawodawcy o powiększenie w sposób bardzo znaczny klasy drobnych właścicieli. Jednak wywłaszczenie to posiada charakter socjalistyczny w tym sensie, że dąży do zniesienia własności obszarników i rentjerów i przeobrażenia tej dotychczasowej formy własności ziemskiej na własność, opartą na pracy bardziej odpowiadającej interesowi społecznemu. Wreszcie co powiedzieć o podatkach, które we wszystkich niemal krajach wzrosły w sposób zastraszający od wojny? Wszak podatki te stanowią także rodzaj wywłaszczenia dochodu? Jeżeli widzimy, że w Anglii, w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych, a także w innych krajach, wielkie majątkach muszą, czy będą musiały, płacić połowę, albo jak w Stanach Zjednoczonych dla bardzo wielkich majątków nawet 72⁰/₀ dochodu, zali nie należy uważać tej procedury podatkowej za wywłaszczenie do połowy, albo do trzech czwartych — i bez odszkodowania? A kiedy wejdzie w życie podatek majątkowy (przygotowywany we Francji, przeprowadzony w Polsce) wywłaszczenie rzucić nam się jeszcze więcej będzie w oczy.

Ileż jeszcze możnaby zacytować przykładów umniejszania własności prywatnej przez państwo w imię interesu publicznego! Państwo zabrania kapitalistom wywożenia kapitałów zagranicę (w złocie, czy

w srebrze). Na każdej granicy znajdują się celnicy, zakazujący wywozu sumy większej ponad pięć tysięcy franków w biletach bankowych, zakazujący wywozu bezwzględnie złota i innych papierów wartościowych. Jest to także zamach na własność indywidualną, ile że cechą własności prywatnej jest to, że właściciel ma prawo ją wywozić. Dalej rząd zamierza znieść wogóle papiery na okaziciela i zastąpić je papierami imiennymi, aby uniemożliwić im wyjście z kraju bez pozostawienia śladu. Wreszcie ustawa zakazuje wywozu dzieł sztuki. Właściciel pięknej galerji obrazów nie ma prawa sprzedawać jej za granicę kraju, co sprawia, że galerja ta traci znaczną część swojej wartości handlowej. Nie wdaję się w tem miejscu w ocenę, czy zarządzenia te są celowe; podaję je tylko jako przykłady nowego pojęcia własności, które czyni z właściciela prostego zarządcę własności swojej na rachunek społeczności, wobec której za własność tę ponosi on odpowiedzialność, co znaczy, że własność odtąd staje się „funkcją publiczną“.

ROZDZIAŁ V.

DZIERŻAWA I POŻYCZKA PROCENTOWA.

Dzierżawa. Sprzedaż, dar, legat nie stanowią jedynych tylko sposobów rozporządzania własnością. Zdarzyć się może, że właściciel nie chce w sposób ostateczny pozbywać się własności swojej. Wyobraźmy sobie, że posiada on kawałek ziemi. Być może, że dla wielu powodów pragnie go zachować: jest to własność odziedziczona po przodkach, którąby chciał przekazać dzieciom, albo własność ta dała nazwisko jego przodkom, albo, jak to bywa dzisiaj, własność ta umożliwiła wybór poselski. Wszakże on sam nie może tej ziemi uprawiać, w tych warunkach „wypożycza“ ją rolnikowi na czas pewien, przekazuje mu prawo użytkowania tej własności, pod warunkiem opłacania przez dzierżawcę pewnej części dochodu, jaki ziemia daje, w naturze, albo w pieniądzu; pierwszy sposób nosi we Francji nazwę połownictwa (métayage, u nas dzierżawa za drugi snop), drugi—jest to dzierżawa w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Obie instytucje posiadają bardzo dawną historję.

Warunki podobne mogą sprawić, że właściciel kapitału szukać będzie kontrahenta, któryby użytkował jego kapitały, dorabiał się przy ich pomocy dochodu. W tym wypadku właściciel pożycza kapitały i otrzymuje dochód, który nazywa się procentem, który to procent odpowiada powyżej określonej cenie dzierżawnej.

Na pierwszy rzut oka sposoby te są pożyteczne dla wszystkich. Przedewszystkiem dla właściciela, który może nie otrzymywać dochodu z uprawy ziemi, bądź dlatego, że nie mieszka na niej, że uprawia ją przy pomocy osób trzecich, bądź, że nie posiada środków pieniężnych, potrzebnych do uprawy ziemi, bądź dlatego, że nie posiada przygotowania fachowego, bądź dlatego, że chodzi o kobietę zamężną, posiadającą różne obowiązki (dzieci, chorego męża), bądź wreszcie dlatego, że właścicielką jest osoba prawna (zakład wyznaniowy, dobroczynny, naukowy). Nietylko właściciel korzysta na tem, ale i społeczeństwo, albowiem zdarzyłoby się mogło, że gdyby nie było takiego sposobu rozporządzania własnością, pozostawałaby ona odłogiem. Sposób ten jest pożyteczny dla dzierżawcy, albowiem brak środków odpowiednich może mu nie pozwolić własność tę nabyć, a jeżeli nawet posiada pewną kwotę pieniędzy, lepiej uczyni, jeżeli zużytkuje gotówkę swoją, uprawiając ziemię cudzą, niż umieszczając cały swój kapitał w kupnie ziemi i nie pozostawiając sobie żadnych środków, umożliwiających mu uprawę. W Anglii, gdzie od kilku lat rząd i samorzady, pra-

gnąc rozwinać uprawę ziemi, obowiązują się zaopatrzyć robotników rolnych w działki ziemi (po angielsku *allotments*), robotnicy rolni mogą działki te nabywać bądź na własność, bądź też brać je w wieloletnie dzierżawy. Pierwszy sposób znajduje nielicznych tylko amatorów. Dlaczego? Dlatego, że właścianin, który posiada niewielki tylko kapitał, rozumie, że lepiej go zachować i zużytkować na kupno inwentarza i narzędzi gospodarczych, niż ofiarować go w celu zdobycia tytułu „właściciela“, który nie potrafi wydobyć z tej własności dochodu.

Dzierżawa jest urządzeniem bardzo pożytecznym dla tych wszystkich, którzy nie posiadają środków, wystarczających do kupna z tytułem pełnej własności; przy pomocy dzierżawy będą mogli ziemię użytkować i sprawić, aby pracowała z pożytkiem dla całego kraju.

W tych warunkach z jakiegokolwiekbądź strony przyjrzeć się urządzeniu dzierżawy, na pierwszy rzut oka widzimy tylko dobre jej strony, dobre dla wszystkich, dla oddającego w dzierżawę, dla biorącego w dzierżawę i dla całej społeczności. Jednocześnie umowa ta zdaje się odpowiadać w zupełności uczuciu sprawiedliwości, albowiem, o ile uznajemy słuszność zasady własności, byłoby zapewne rzeczą niesłuszną uważać, że dzierżawca mógłby bezpłatnie użytkować ziemię, należącą do osoby trzeciej. A jednak ta właśnie instytucja dzierżawy dała początek najdawniejszej formie socjalizmu, tej jego formie, która nosiła nazwę „sprawy agrarnej“, która to sprawa odegrała tak

wielką rolę w dziejach Rzymu, jak zresztą i w dziejach wszystkich innych narodów, aż do czasów najnowszych. Dlaczego? Przedewszystkiem dlatego, że oddzielenie zasady własności od zasady uprawiania ziemi pozwoliło na to, aby prawo własności straciło podstawę, na której się opierało, a mianowicie zasadę pracy. Niewątpliwie nawet wtedy, kiedy właściciel sam uprawia ziemię swoją, w owocach jego pracy, w zbiorze zboża albo wina, znajduje się i część pewna, której jedyną podstawą nie jest tylko praca człowieka, ale którą zawdzięcza, jeżeli nie współpracy natury, to przynajmniej niejednakowej urodzajności ziemi. Nazywa to się w ekonomji politycznej rentą gruntową, która to renta stanowi dla ekonomistów od lat stu niewyczerpany temat rozmyślań i dyskusji. Ale jeżeli ta renta „niezarobiona“, jak mówią Anglicy, daje się ująć przez analizę naukową, to jednak nie ujawnia w niczem swojego istnienia wtedy, kiedy właściciel jest jednocześnie rolnikiem, własność swoją uprawiającym. Przeciwnie, bije w oczy każdego z chwilą, kiedy ziemia oddana jest w dzierżawę. Jednocześnie powstają i klasy: z jednej strony, ci, którzy uprawiają ziemię, nie zbierając owoców; z drugiej ci, którzy zbierają owoce, nie pracując. Podział ten posiada charakter nie tylko ekonomiczny, ale i polityczny, ile, że klasa posiadaczy stała się jednocześnie klasą rządzącą, prawodawczą, uczącą i zawdzięcza te wszystkie przywileje wolnemu czasowi, które daje im renta. Podczas, gdy pierwsza klasa pozostaje ubogą, zależną i ciemną,

ile że praca codzienna sprawia, że jest klasą poddaną.

Atoli te skutki fatalne nie odrazu i nie we wszystkich krajach zaczęły się ujawniać. Dopóty, dopóki w danym kraju jest wielka ilość wolnej ziemi, jak na przykład w Ameryce albo w kolonjach, w tych warunkach umowa dzierżawna posiada tylko cechy dodatnie, o których mówiłem wyżej. Powoli jednak, bądź pod wpływem warunków historycznych i zaborów, bądź pod wpływem ustawodawstwa, narzuconego przez klasę posiadającą, bądź wreszcie pod wpływem nacisku, który jest skutkiem mnożącego się zaludnienia, przychodzi chwila, że niema już więcej ziem wolnych poza temi, które przywłaszczyli sobie właściciele ziemi; w tych warunkach własność ziemska staje się monopolem. Ci, którzy ziemię posiadają, mogą narzucać ceny jakie chcą, i ludność wiejska, która nie może ziemi zdobyć, jak tylko przy ich udziale, musi każdą cenę narzuconą płacić. Cena dzierżawy może w tych warunkach urosnąć do takich rozmiarów, że prawie cały dochód, na jaki składa się ziemia i praca dzierżawcy, wpływa do kieszeni właściciela pod postacią dzierżawy; w tych warunkach rolnik, uprawiający ziemię, może nawet głód cierpieć.

Dość zacytować przykład najbardziej osławiony, przykład Irlandji, gdzie wielcy właściciele, landlordowie, poczynając od zaboru, dokonanego za czasów Kromwela i w czasach późniejszych, zajęli wszystkie ziemie uprawne, co sprawiło, że lud-

*

ność rolnicza nie mogła znaleźć ziemi wolnej i musiała płacić ceny, które stanowiły o jej ruinie*). W tych warunkach narodziła się tragiczna kwestja irlandzka, która znalazła sobie częściowe rozwiązanie w usamowolnieniu Irlandji, ale i po dzień dzisiejszy nie jest jeszcze ostatecznie załatwiona. Jednak rozwiązano sprawę dzierżaw przez wykup ziemi na rzecz dzierżawców przy pomocy środków, dostarczonych w ciągu długich lat przez rząd angielski. Jednak zło było dokonane.

Sprawa agrarna straciła w społeczeństwach demokratycznych, a w szczególności we Francji, wiele z ostrości swojej. Dlaczego? Dlatego, że dziś już niema przywłaszczenia, zaboru ziemi we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Prawo spadkowe rządzi się zasadą równego podziału, odprzedaż ziemi jest bardzo ułatwiona, zaludnienie wsi staje się coraz mniej gęstem (we Francji), ludność wiejska wychodzi do miast, w ten sposób ilość ziemi wolnej stale się powiększa i każdy, kto chce, może kawałek ziemi wolnej znaleźć i wziąć w dzierżawę, tylko że tych ostatnich nie jest dziś tak wiele, jak było dawniej. W tych warunkach właściciele ziemi, pragnący ją oddać w dzierżawę, nie korzystają więcej z monopolu, ani w sensie prawa, ani w sensie faktów. I nie mogą narzucać warunków swoim dzierżawcom; zdarza się, że ci ostatni dyktują warunki właścicie-

*) Por. Stanisław Posner: *Autonomia Irlandji* (Warszawa, Wende 1914).

lom i dlatego we Francji instytucja dzierżawy grun-
towej nie wyradza się w instytucję wyzysku.

Nie było tak w krajach, zbliżonych do Wschodu
Europy, gdzie istniały wielkie latyfundja, gdzie zie-
mia dziś jeszcze stanowi przedmiot monopolu
i gdzie skutkiem tego dzierżawca dziś jeszcze jest
w pewnym sensie wyzyskiwany. W celu zniesienia
tego monopolu zostały w tych krajach od niedaw-
nego czasu wydane ustawy, które ograniczają maksy-
mum własności ziemi: wszystko co przekracza pewne
przez prawo określone, albo mające być określo-
nemi, granice, podlega wywłaszczeniu na zasadzie
odszkodowania; w ten sposób „wyzwolona“ ziemia
przeszła, względnie przejdzie, do włościan, którzy
nie są właścicielami, a którzy będą mogli ziemie te
nabyć, względnie wziąć w dzierżawę. W tych wa-
runkach tragiczne dzieje dzierżaw rolnych mogą być
uważane za zamknięte; historia dzierżaw, ale nie
historia własności rolnej.

Pożyczka procentowa. Przechodzimy do dru-
giego sposobu najmu, który znajduje zastosowanie
swoje nie do ziemi, ale do pieniądza i który nosi
nazwę pożyczki. Na pierwszy rzut oka pożyczka
pieniężna jest to sposób użytkowania pieniądza,
który wydaje się pożytecznym dla wszystkich. Jest
wiele osób, które posiadają kapitały, a które dla stu
powodów nie mogą używać ich osobiście, bądź
w przedsiębiorstwach, bądź w handlu osobiście upra-
wianym. Co mogą uczynić lepszego, niż ofiarować
kapitały te osobom trzecim, które zużytkują je nie-

tylko we własnym interesie, ale i w interesie wszystkich, w interesie ogółu? Cóż może być bardziej pożytecznego dla człowieka, który nie posiada pieniędzy, albo nie posiada dostatecznego czasu, aby stworzyć sobie kapitał przy pomocy oszczędności (ażeby przy pomocy oszczędności złożyć kapitał, trzeba całego życia jednego człowieka, albo nawet życia kilku pokoleń), niż znaleźć kapitał, który może bezpośrednio i natychmiastowo użytkować, płacąc niewielkie odszkodowanie, płacone corocznie i zwane *procentem*? Pożyczka na procent jest sposobem oddawania kapitału do dyspozycji tych wszystkich, którzy ich nie posiadają, kosztem odszkodowania w zasadzie niższego od sumy tych ofiar, które musiałby ponieść dłużnik, gdyby chciał sam stworzyć czy złożyć kapitał, którego nie posiada. Na pierwszy rzut oka tedy pożyczka na procent nie wydaje się ani szkodliwą dla stron, zawierających umowę tego rodzaju, ani dla sprawiedliwości. Aliści w tym wypadku silniej jeszcze niż w wypadku poprzednim dowiemy się niebawem, że instytucja, wydająca się tak prostą i tak w istocie swojej pożyteczną, wyrodi się powoli w instytucję tak szkodliwą, że wywołującą nieskończone zamieszania w społeczeństwie. Jeżeli staniemy nie na stanowisku korzyści, ale na stanowisku sprawiedliwości, pożyczka na procent wydaje się zupełnie racjonalną; to raczej pożyczka bezprocentowa wydaje się nieracjonalną i niemądrą, chyba, że będzie to akt miłosierdzia, jakich wiele uprawiają różne stowarzyszenia

dobroczyne. Wydaje nam się ona na pierwszy rzut oka tak słuszną i uprawnioną, że zadajemy sobie pytanie, jakże to być może, ażeby ta słusność podawana była w wątpliwość? A jednak w ciągu długich wieków pożyczka na procent wydała się ludzkości umową niemoralną i niesłuszną. Dlaczego? Odpowiadano: dlatego, że to nie jest to samo pożyczać pieniądze, co pożyczać ziemię. Zachodzą tu różnice trojaki:

1) Ziemia przynosi owoce, jest rzeczą tedy naturalną, że ten, który ją pożycza i który z bogaci się przy pomocy tych owoców (naprzykład dzierżawca), odda właścicielowi część tych owoców w naturze, albo w pieniądzu. Jest obok tego rzeczą widoczną, że gdy chodzi o worek pieniędzy, albo o portfel, wypełniony banknotami, nie widać na pierwszy rzut oka, aby ten worek przynosił owoce. Krowa daje mleko i cielęta, kura znosi jaja, ziemia daje nam urodzaj, ale cóż dać może worek pieniędzy? A jednak wyraz, który w języku greckim oznacza dochód (tokos) znaczy: zapłodnienie. Oto dlaczego wielki filozof grecki Arystoteles dowodził, że pieniądz nie może dzieci rodzić. Miałyby słusność, o ile worek pieniędzy znajdowałby się wyłącznie w kasie ogniotrwalej; po upływie roku worek liczyłby taką samą ilość pieniędzy bez żadnego dodatku. Będzie jednak zgoła inaczej, jeżeli worek ten na drodze wymiany stanie się kapitałem, przynoszącym owoce: nic nie stoi na przeszkodzie temu, aby przy

pomocy worka pieniędzy kupić krowę, która przecieź będzie miała cielecia.

2) Ziemia daje nam owoce, które możemy ocenić ilościowo. Kiedy właściciel oddaje ziemię swoją w dzierżawę, wiadomo z góry, ile ta ziemia może przynieść hektolitrów wina, albo centnarów zboża, kartofli lub owoców. Wiedząc, co ziemia przynosi, można mniej lub więcej dokładnie określić, czy część, którą otrzyma właściciel, będzie słuszną, albo będzie przesadzona, w szczególności, jeżeli ta część jest dawana w naturze.

Ale jeżeli pożyczka udzielana jest w pieniądzech, nie posiadamy żadnej zasady, któraby pozwoliła nam określić wysokość procentu, to znaczy stosunek (do kapitału) kwoty, którą będzie musiał płacić corocznie dłużnik. Czy to będzie, mianowicie, dwudziesta część, co znaczy 5%, albo dwudziesta piąta część, co znaczy 4%, albo trzydziesta trzecia, co znaczy 3%? Jak to ustalić? Przypuśćmy, naprzykład, że pieniądze zostały zużyte na cele produkcyjne daleko, być może na końcu świata, i być może zmieniają stale i ciągle przeznaczenie swoje? Cóż tedy określa wysokość procentu? Jedyne i wyłącznie tylko prawo podaży i popytu, to znaczy, że procent będzie mógł posuwać się w górę bez ograniczenia we wszystkich wypadkach, w których pieniądz będzie rzadki, a szukający go będą liczni, co ma mniej lub więcej miejsce we wszystkich krajach. Wysokość procentu w tych warunkach

może dochodzić do rozmiarów fantastycznych. W starożytnym Rzymie, gdzie pieniądz był rzadki, procent od kapitału wynosił jeden na miesiąc, co znaczy dwanaście procent na rok. Jesteśmy świadkami takich samych stosunków w dzisiejszym Algierze i we wszystkich nowych krajach wogóle. Zdarzało się na Bałkanie, że przy pożyczkach na czas krótki dłużnicy płacili jeden procent dziennie, co oznacza 365 % rocznie.

W ten sposób procent od kapitału otrzymuje nazwę lichwy. Pierwotnie wyraz ten, który po łacinie (*usura*) oznacza poprostu użytkowanie pewnej rzeczy, nie posiadał wcale charakteru ujemnego. Rozwój etymologiczny tego właśnie wyrazu wskazuje dokładnie na rozwój instytucji pożyczki od prostego użytkowania, a kończąc na wyzysku. Oto dlaczego trzeba było, aby prawodawca zajął stanowisko nieprzychylnie i ograniczające instytucję pożyczki procentowej, określając mianowicie wysokość procentu, tak samo jak podczas wojny ostatniej byliśmy świadkami określenia maksymalnych cen za przedmioty codziennej potrzeby. Jednak procent prawny nie spoczywał na żadnych danych naukowych.

3) Różnica najbardziej charakterystyczna polega na tem, że w dzierżawie nieruchomości, albo w dzierżawie mieszkania, bogactwo pożyczone pozostaje w rękach dzierżawcy albo lokatora, to znaczy, że kiedy skończy się umowa najmu, dzierżawca, albo lokator, mogą być usunięci. Ziemia pozostaje

nietknięta, wraca do właściciela—i koniec. Tymczasem, kiedy chodzi o wypożyczony pieniądz, rzecz ma się inaczej. Worek pieniędzy, albo zwitek biletów bankowych, nie pozostaje w rękach wypożyczającego. Nikt na świecie nie był o tyle szalony, aby pożyczać pieniądze i nie brać ich do ręki. Kiedy pożyczamy pieniądze, czynimy to bądź poto, aby je wydatkować nieprodukcyjnie, aby je „zjeść“, jak mówią i czynią złoci młodzieńcy, a w szerszych rozmiarach państwa, albo poto, aby je wydatkować produkcyjnie, powołując do życia przedsięwzięcia dochodowe. W jednym i drugim wypadku pieniądz wypożyczony będzie zawsze wydatkowany. Tak, iż kiedy nadejdzie chwila płatności długów, w rękach dłużnika nie będzie już ani jednej monety, ani jednego papierka z pieniędzy wypożyczonych. Nie będzie on mógł długu swojego zwrócić, chyba pod warunkiem, że zbierze sumę pieniędzy równą tej, którą otrzyma. Nie jest to rzeczą łatwą i nie może to być zawsze urzeczywistnione, a jeżeli dłużnik nie zdoła zebrać pieniędzy, które otrzymał, coż się stanie? Stanie się dłużnikiem niewypłacalnym. Jeżeli jest handlującym, ogłoszą mu upadłość. Ze stanowiska kupieckiego traci honor, a w każdym razie traci wszelki kredyt, a więc całą swoją sytuację. A to już rzecz najmniejsza w porównaniu z losem, jaki oczekiwał za dawnych czasów dłużnika niewypłacalnego. Historia opowiada rzeczy przerażające o dłużnikach, którzy nie byli w stanie długów swoich w terminie zapłacić. Szekspir opowiedział nam taką

historję w słynnej tragedji, noszącej tytuł „Kupca weneckiego“, który zobowiązał się, że o ile w terminie nie będzie mógł długu swojego uiścić, zapłaci w ten sposób, że pozwoli sobie wykroić funt mięsa. Taki sposób płacenia długów nie ma swojego źródła jedynie w wyobraźni poety, znajdujemy bowiem w starożytnej ustawie, najstynniejszej ze wszystkich ustaw ludzkich, obok ustawodawstwa możeszowego, a mianowicie w prawie Dwunastu Tablic, artykuł, który zapowiada, że dłużnik, który w terminie nie zapłaci długu swojego, będzie porąbany na tyle równych części, ile liczy wierzycieli. Wielu prawników uważa, że ta groźba nie była nigdy urzeczywistniana. Co jednak jest pewne, to fakt, że jeżeli dłużnik nie był dzielony na kawałki, był oddawany do niewoli. Taka niewola była prawem powszechnem. U wszystkich narodów starożytnych dłużnik stawał się niewolnikiem i musiał pracować na rzecz wierzyciela aż do chwili, kiedy dług jego był w całości wypłacony. Piwnice w domach patrycjuszów rzymskich pełne były od niewypłacalnych dłużników, którzy pracowali dla panów swoich dopóty, dopóki długu swojego nie zdążyli wypłacić; chwila taka nie następowała nigdy, a nawet i później, kiedy te okrutne obyczaje uległy zmianie, życie niewypłacalnych dłużników było nie do zniesienia. Słynny pisarz angielski Dickens wypełnił całą niezmiernie zajmującą powieść („Mała Dorrit“) historją jednego dłużnika niewypłacalnego, który całe życie swoje — trzydzieści lat życia — spędza w więzieniu za długi.

w którem to więzieniu zamykano dłużników niewypłacalnych aż do chwili, kiedy znajdowali sposób wykonania zobowiązania swego; a że zazwyczaj nikt w więzieniu nie zarabia pieniędzy, wielu z tych dłużników pozostawało w niem całe życie i wielu w nich umierało. I w Warszawie istniało długo więzienie za długi, i dzisiaj jeszcze żyją ludzie, którzy te czasy pamiętają; we Francji zniesiono je w r. 1867.

Kiedy pomyślimy o milionach ludzi, którzy w przestworzu świata całego nie mogli zapłacić długów swoich i przecierpeli długie lata życia w warunkach, których słaby tylko daliśmy powyżej obraz, zrozumiemy łatwo krzyk oburzenia, który rozbrzmiewał w ciągu długich stuleci nietylko ze strony dłużników przeciwko wierzycielom, ale i ze strony wszystkich czynników wyższych i szlachetniejszych na świecie. Prawodawstwo mojżeszowe pozwalało Żydom pożyczać cudzoziemcom (na procent), ale nigdy braćiom rodakom. Cytowaliśmy wyżej Arystotelesa, a u Rzymian stary Katon, który odznaczał się szczególnie surowością charakteru, mówił: „Co to znaczy pożyczać na procent, zali nie znaczy to: mordować?” Wreszcie Ojcowie Kościoła każdy oddzielnie, a także za pośrednictwem zgromadzeń i soborów potępiali pożyczanie na procent. Dodajmy zresztą, że krzyki oburzenia z biegiem wieków traciły ostrość swoją, zupełnie tak samo, jak sprawa dzierżaw. I w jednej i drugiej sprawie po wiekach, wypełnionych oburzeniem, nastąpiła cisza. Prawda, że w r. 1849 znany ekonomista Bastiat pisał: „Umysł ludzki nie może

znaleźć, chyba w zakresie zagadnień religijnych, sprawy poważniejszej, niż słuszność procentu od pożyczki“. Dziś jednak zagadnienie procentu mniej jeszcze roznamiętnia opinię publiczną, niż zagadnienia religijne. Nietylko, że nie słyszymy przekleństw, miotanych na pożyczki procentowe, przeciwnie, słyszymy tylko, jak się ludzi zachęca, aby oddawali oszczędności swoje na procent. Co parę miesięcy widzimy na murach Paryża olbrzymie afisze, zachęcające ludzi do pożyczania pieniędzy państwu. Czytamy: „Przynoście pieniądze swoje! Dam wam sześć procent, interes patriotyczny domaga się spełnienia tego obowiązku“. I nietylko ludzie namawiają bliźnich swoich, aby pożyczali państwu. I kooperatywy, jednak instytucje napół socjalistyczne, także szukają pożyczek, przyrzekają sześć procent wszystkim, którzy ofiarują pieniądze swoje tym instytucjom, opartym na zasadzie solidarności i braterstwa.

Zmieniło się tedy coś w historii pożyczek procentowych. Cóż mianowicie? Cóż się stało, że sprawa ta, której historia była długim męczeństwem, stała się dzisiaj rzeczą uznaną? Stało się tak dla dwóch powodów: jeden jest natury teoretycznej, drugi faktycznej. Nasamprzód zasada teoretyczna. Dziś i socjaliści zrozumieli, że pożyczka procentowa jest koniecznie związaną z własnością indywidualną i że jest nonsensem przypuszczać, że pożyczka będzie mogła być darma dopóty, dopóki uznana jest własność indywidualna. Co znaczy, że kwestja procentu przenosi się z płaszczyzny zasadności pro-

centu na płaszczyznę zasadności własności kapitału. W ten sposób teren sporu uległ zmianie. Jeżeli pierwsza zniknęła, druga pozostaje; odnajdziemy ją dalej. Dalej zasada faktyczna tłumaczy nam również zmianę, która zaszła: zmieniły się zasadniczo pozycje wierzycieli i dłużników. W dawnych stuleciach wierzyciel, to jest ten, który dawał pieniądze, był silny, zaś słabym był ten, który zadłużał się, dłużnik. Jeden był bogaty, potężny, był patrycjuszem; drugi był potrzebującym, proletarjuszem, nędzarzem. Inaczej jest dzisiaj. Któż to dzisiaj są najwięksi dłużnicy? Najwięksi dłużnicy są to przede wszystkim państwa, są to dalej wielkie banki, wielkie banki akcyjne. Któż to są wierzyciele? To my, ja i ty, to bardzo niezamożni ludzie, którzy na drodze przez wiele, wiele lat uprawianej oszczędności zebrali trochę oszczędności i ofiarują oszczędności swoje przedsiębiorstwom, o których czytają w dziennikach. Dlaczego mielibyśmy dzisiaj żałować losu dłużników? Mielibyśmy rzucać przekleństwa, jak Ojcowie Kościoła, albo jak to jeszcze czynił Proudhon, na pożyczających pieniądze i żądać darmego kredytu dla banków, dla kompanji okrętowych, dla kopalni nafty? Gdyby żądano od nas, aby pożyczać bez procentu państwu, dlatego, że tyle milionów w ciągu wojny ubiegłej dało krew swoją i życie swoje, moglibyśmy to jeszcze zrozumieć, jakkolwiek ludzie naogół uważają, że będą przezorniejsi, jeżeli nie zaryzykują pieniędzy. Ale gdyby żądano od nas, byśmy pożyczali tytułem

darmym kompanjom kolejowym, albo właścicielom kopalń, albo towarzystwom akcyjnym fabryk sukienicznych czy bawełnianych, poto tylko, aby te wszystkie przedsiębiorstwa dawały większe dywidendy akcjonariuszom swoim i podnosiły kurs akcji swoich na giełdzie, byłoby to w najwyższym stopniu komiczne. Oto jest przykład, bijący w oczy i wykazujący, jak zagadnienia ekonomiczne ulegają zmianom z biegiem wieków.

Najem mieszkania. Jeżeli sprawy dzierżaw i odsetków procentowych zostały załatwione w tym duchu, że nie wywołują już więcej żadnych niepotrzebnych niepokojów społecznych, pozostaje jedna bardzo do nich zbliżona, która bynajmniej nie została jeszcze załatwiona, która, przeciwnie, weszła w ostatnich latach w okres nadzwyczajnej ostrości: jest to sprawa komornego. Oto także przykład ciekawej kwestji, która nie istniała dawniej, a dziś staje przed nami w całej niebezpiecznej powadze swojej. W miarę jak powstały wielkie skupienia miejskie, domy stały się monopolem, podczas gdy w tym samym czasie kapitał przestawał nim być; i podobnie jak dawniej w kwestji pieniądza, dzisiaj w kwestji domów, mówimy o lichwie, i to tak dalece, że ludzie zadają sobie pytanie, zali nie będzie trzeba zaprowadzić w zakresie komornego stałych cen maksymalnych, tak jak to miało miejsce kiedyś z „najmem pieniądza“. Wprowadzenie atoli tej zasady w życie nie dałoby większych wyników w tej dziedzinie, niż w dziedzinie lichwy pieniężnej. Prze-

ciwnie, inicjatywa taka powiększyłaby tylko zło, zniechęciłaby bowiem przedsiębiorców do budowania domów, przeznaczonych na odnajmowanie mieszkań. Doprowadziłoby to poprostu tych, którzy nie posiadają własnych domów, do konieczności budowania własnych, każdy dla siebie, co byłoby droższem jeszcze, co pochłaniałoby znacznie większe koszta, niż to ma miejsce dzisiaj. Według mojego zdania kwestja ta może być w dwojaki sposób rozwiązana. Pierwsze rozwiązanie to zmniejszenie ilości ludzi, szukających mieszkań, to znaczy wyludnienie miast, czego zresztą bynajmniej dzisiaj przewidzieć nie można. Gdyby miasta uległy wyludnieniu, wtedy prawo popytu i podaży sprawiłoby, że komorne zaczęłoby spadać z wielką szybkością. Drugie rozwiązanie miałoby źródło swoje w tem, że przemysł wynalazłby sposoby budowania najzupełniej różne od tych, które stosował do chwili dzisiejszej, to znaczy, gdyby znalazł sposoby budowania domów według jednej modły, tak jak się w wielkich fabrykach buduje welocypedy, albo zegarki, albo samochody (Ford). Jakkolwiek bądź, jest raczej do przewidzenia że odtąd w budżecie każdego obywatela komorne pochłaniać będzie nie siódmą część budżetu, co dotychczas uważano za rzecz normalną, ale czwartą, albo i trzecią część.

Rentjer. Dwojaka właściwość prawa własności, o których mówiliśmy dotychczas, dzierżawa i pożyczka, mają konsekwencję o nieobliczalnem wprost znaczeniu, tę, mianowicie, że pozwalają one właści-

cielowi żyć z dochodu, który przynoszą mu jego ziemia, albo kapitały, bez pracy. W tym wypadku mówi się o właścicielu, że żyje jak rentjer (to znaczy z „rent“, które zbiera). Owóż rentjer, człowiek żyjący bez pracy, pasorzyt, oto trzy przerwiska mocno niepopularne, nazwy, których przejście od jednej do drugiej jest dosyć łatwe, wywoływały od dawna oburzenie socjalistów, którzy pozycje społeczne podobnych obywateli piętnowali, jako przyrodzoną konsekwencję prawa własności, najlepiej samą instytucję własności kompromitującą. Rentjer wszakże może powiedzieć tytułem samoobrony, że był we wszystkich społeczeństwach potrzebny, albowiem zawsze w każdej społeczności potrzebni byli ludzie, rozporządzający czasem wolnym, a to w tym celu, aby czas ten wolny od trosk i walk o kawałek chleba mogli zużytkować na rzecz pracy umysłowej, bezinteresownej i na inne rodzaje pracy, nie przynoszące dochodu: należy tutaj pracą w dziedzinie nauki ścisłej, w dziedzinie sztuki, filozofji, należy dobroczynność, należy funkcje rządowe. Wszystkie te funkcje były do niedawna najzupełniej darmo. Można zadać sobie pytanie, czy cywilizacje, które odziedziczyliśmy i które uczyniły z nas to, czem jesteśmy, a mianowicie cywilizacje Grecji i Rzymu, albo arystokracja, którą wytworzyła Anglja, mogły być się narodzić, gdyby nie było klasy ludzi, obdarzonych owym cudownym przywilejem niepracowania w pocie czoła na kawałek chleba? Nie znaczy to bynajmniej, aby wielcy ludzie wyszli wyjątkowo,

ani nawet zbyt często z klasy rentjerów, stosując ten wyraz w sensie bardzo szerokim, szlachty, albo patrycjuszów mieszczańskich. Wszakże należy powiedzieć, że w tych właśnie kołach społecznych owi wielcy ludzie znajdowali najczęściej protektorów, albo i klientów, znajdowali przynajmniej czytelników książek, które pisali. Jeżeli tak było, stwierdzić należy, że było tak dlatego, iż wykształcenie i czas wolny stanowiły przywilej nieznacznej tylko części społeczeństwa. W miarę jak się szerzy oświata i zmniejsza czas pracy, potrzebnej dla wyżywienia człowieka, funkcja rentjera traci na swojej sile i przeobrażała się powoli w pasorzytnictwo. Z tą chwilą skazana jest na śmierć. W społeczeństwie powojennem Francji wszyscy będą mniej lub więcej rentjerami (państwo rzuciło na rynek tysiąc miliardów renty, którą obywatel francuski obowiązany będzie nabyć!), ale nie będzie nikogo, albo tylko bardzo mało osób, które będą mogły żyć z rent swoich.

ROZDZIAŁ VI.

PRACA NAJEMNA I ZYSK.

Widzieliśmy dotychczas trzy sposoby, przy których pomocy właściciel użytkuje swój majątek, czyni zadosyć potrzebom swoim, to znaczy spożywa go: przekazuje go osobom trzecim na drodze daru, legatu, albo sprzedaży, wreszcie odstępuje użytkowanie na czas pewien, co znaczy, że oddaje go w najem, albo wypożycza. Pozostaje ostatni sposób użytkowania najważniejszy, jeżeli chodzi o skutki. Właściciel posiada mały ogródek, ale zamiast sadzić w nim róże i odpoczywać po pracy, zamienia go w ogród warzywny — albo owocowy; czółna, jakie posiada, nie użytkuje jak Robinson, aby czynić przejażdżki po morzu, albo czekać na szczęśliwą możliwość ucieczki z wyspy odległej, ale poto, aby łowić ryby i codziennie je do domu przywozić. Właściciel posiada pieniądze i zamiast wydawać je, umieszcza je w przedsiębiorstwie dochodowym. Bogactwo (dobro), które jest użytkowane do produkowania innych bogactw nazywa się kapitałem. Najczęściej kapitał nie może dać życia

*

innym rodzajom bogactwa, jak tylko wtedy, kiedy jest zapładniany przez pracę.

W niektórych wypadkach kapitał może produkować przy pomocy samej tylko natury. Tak rzecz ma się z jajkiem, z którego wychodzą na świat kurczęta, a które mogłyby być zjedzone w jajecznicy; tak bywa z baryłką wódki, która spoczywa w ciągu lat dwudziestu w piwnicy, dojrzewa i staje się koniakiem. Jeżeli chodzi o pożytek, albo o jakość, można powiedzieć, że we wszystkich produktach udział natury jest niewspółmierny, ale jeżeli spojrzymy na tę sprawę ze stanowiska wartości, albo ceny, współdział natury staje się bardzo mały w porównaniu z udziałem pracy. Dopóty, dopóki użytkowanie dochodowe jest dziełem pracy osobistej właściciela (ziemia uprawiana przez włościanina, czółno, stanowiące własność rybaka), niema socjalistów, którzyby protestowali przeciwko podobnemu użytkowaniu bogactwa. Ale w rzeczywistości rzecz ma się tak, że własność posiadana rozrasta się, że właściciel nie może jej uprawiać własnym tylko wysiłkiem fizycznym i musi szukać pomocy, szukać pracy osób trzecich. Jeżeli ogród jest zbyt wielki, ażeby jeden tylko człowiek mógł mu dać radę, właściciel będzie musiał wezwać robotnika do pomocy. A jeżeli barka Robinsona jest zbyt wielka, aby on mógł ją prowadzić na morzu, odwoła się do pomocy Piętaszka: jeden będzie sterował, a drugi sieci zarzuci.

Jednostka, najbardziej czynna i pracowita nie może użytkować tego czy innego bogactwa przy

pomocy własnej pracy, jak tylko w pewnych granicach, dodajmy—w granicach bardzo niewielkich. Gdyby nam ofiarowano milion pod warunkiem, że zużytkujemy go produkcyjnie przy pomocy własnej tylko pracy i nie odwołując się do pomocy osób trzecich, musielibyśmy wyrzec się miliona, warunek bowiem byłby niemożliwy do wykonania. „Wydać“ milion—tak! aczkolwiek i przy tem wydawaniu pieniędzy byłoby konieczne pewne przyzwyczajenie, ale zużytkować go produkcyjnie i samemu, niel Właściciel kapitału jest zmuszony odwoływać się do pomocy osób trzecich, do pomocy, jak mówią, robotnika, a ten, do kogo właściciel musi się odwołać, nie da swojej pracy tytułem darmym. Właściciel musi mu zapłacić odszkodowanie, które będzie częścią dochodu, jakie daje ziemia, albo rybołówstwo, i co będzie bardziej dla robotnika wygodne — w pieniądzu równowartościowym owocom ziemi, albo rybołówstwa i płaconym zgóry. Zapłata ta, która jest ceną najmu pracy, jak procent w przykładach powyższych był ceną najmu kapitału, nazywa się p ł a c a n a j e m n ą, ten zaś kto płacę te pobiera, nosi nazwę najemnika. Właściciel kapitału w tym wypadku nosi nazwę pracobiorcy („patron“).

Praca najemna. Sposób użytkowania kapitału, zwany najmem pracy, posiada niepomiernie wielkie konsekwencje, o wiele większe, niż którykolwiekbądź z opisanych powyżej sposobów. Nie dlatego, aby nie wydawał się, jak powyżej zaznaczone sposoby, pożytecznym dla jednej i drugiej strony. Przed-

wszystkiem dla właściciela, ile że sposób ten pozwala mu wykorzystać bogactwo, którego by musiał pozbyć się, przekazując osobie trzeciej w drodze sprzedaży, albo pożyczki; w tym wypadku musiałby sam skapitulować i odejść z rynku pracy. Sposób ten jest także pożyteczny dla tego, którego usług pożąda właściciel, dla najemnika, albowiem ten znajduje w płacy codziennej, albo cotygodniowej, dochód stały; nie potrzebuje zadawać sobie pracy z wymyślaniem sposobów stwarzania tej płacy, nie ciąży mu trud kierowania przedsiębiorstwem, nie grozi ryzyko, związane z prowadzeniem każdego przedsiębiorstwa. Jakże się to jednak staje, że sposób, który wydaje się napozór tak niewinny, tak nawet „braterski“, dał życie socjalizmowi, walce klas, rewolucji społecznej i wysypał na świat z puszek Pandory takie olbrzymie mnóstwo plag społecznych? Oto po raz trzeci jesteśmy świadkami, jak urządzenie ekonomiczne, które w początkach swoich wydaje się dobroczynnem, staje się zcześnie niezgody społecznej. Można naprawdę podejrzewać, że jakiś szatan, zupełnie jak w biblijnym raju, pracuje nad tem, ażeby wszystkie te kwestje przeobrazić w owoce zatrute, podobne do tych, które rosły na Drzewie Poznania Dobrego i Złego. Wytłumaczenie tego zjawiska jest dosyć łatwe: umowa pracy, zawarta między kapitalistą a robotnikiem, nie miała nigdy charakteru idyllicznego wzajemnej pomocy.

Cóż się mianowicie stało? Zanim utrwaliła się

własność indywidualna, dopóty, dopóki ludzie żyli pod rządem gospodarki rodzinnej, o której mówiliśmy wyżej, w rodzinie patryarchalnej naprzykład, instytucja najemników nie istniała wcale, nie była zgoła potrzebna, ile że szef rodziny uprawiał ziemię swoją i pasał stada swoje przy pomocy dzieci i wnuków swoich, także przy pomocy żony swojej, która, jeżeli nie była pierwszą najemnicą, to była przynajmniej pierwszą robotnicą. W chwili jednak, kiedy ten ustrój pracy rodzinnej ustąpił miejsca własności prywatnej i podziałowi pracy, właściciel musiał szukać ludzi, którzyby chcieli pracować „dla niego“; niełatwo ich znaleźć, ile że w społeczeństwie pierwotnym, w czasach, kiedy ziemi było dosyć dla wszystkich, a przede wszystkim dla każdego, kto chciał pracować, w warunkach, w których kapitał nie posiadał wielkiej wartości, w warunkach, w których człowiek mógł własnymi rękoma się związać, albo łuk wystrugać, albo pług zbudować, niewielu było ludzi, którzyby zamiast pracować i produkować na własny rachunek, szli chętnie na służbę do osoby trzeciej. Nie trzeba w tym względzie cofać się aż do początków społeczeństw ludzkich. Wystarczy spojrzeć na to, co się dzieje w kolonjach zamorskich, w których jest rzeczą niepomiernie trudną znaleźć dostateczną ilość robotników dla uprawiania olbrzymich połaci ziemi, należących do „kolonistów“ (jak naprzykład w Tunisie).

W takich warunkach jak sobie dali rady właściciele pierwotni, gdy potrzebowali pracy osób

trzecich? Wynaleźli — niewolnictwo. Na drodze zaboru zdobyli ramiona, których im było potrzeba w celu uprawiania ziemi. Jest to zjawisko najpierwszorzędniejszej wagi w dziejach ludzkości. W Ameryce, kiedy koloniści chcieli uprawiać ziemię swoją, szukali niewolników w Afryce. Była to druga faza niewolnictwa: niewola czarnych, a kiedy niewolnictwo zostało zniesione w kolonjach, zastąpili je niewolnicy żółci (kulisi chińscy). Pozostawmy zresztą na uboczu odrodzenie niewolnictwa w kolonjach, które jest niewolnictwem późniejszym i wtórnym, i wróćmy do czasów, kiedy rozpadał się świat niewolnictwa starożytnego i rozpadało się jednocześnie cesarstwo rzymskie. Czy w owym czasie niewolnik (robotnik) stanie się wolnym? W każdym razie nie na wsi, gdzie pozostanie pod jarzmem poddaństwa, które to poddaństwo było tylko zmiękczoną formą niewolnictwa. Jednak w miastach robotnik zacznie przeżywać okres względnie szczęśliwy bytowania swojego, co prawda bardzo krótki, okres przejściowy, ale jasny w historii pracy. Jakkolwiek mówi się wciąż o mrokach średniowiecza, robotnik, „rzemieślnik“ owych czasów, posiadający narzędzia swojej pracy, nie potrzebował ani szukać najemników, ani się sam stawać najemnikiem. Okres ten nie trwał długo—pięć albo sześć stuleci być może—albowiem z jednej strony poddani wyzwoleni, albo uciekający do miast, tworzyli w nich nowy proletarijat, albowiem z drugiej strony kapitały, potrzebne do produkowania, stały się tak wielkie, że przestały być

dostępne dla tych, którzy nie zdążyli byli jeszcze zdobyć odpowiednio wielkich bogactw. Słowem: posiadanie kapitałów stawało się w pewnej mierze monopolem posiadających i ci ostatni zaczęli narzucać warunki swoje. W rzeczy samej co pocznie „proletariusz“ (ten tytuł noszą ludzie, którzy nie posiadają nic, jak tylko swoje dziesięć palców), kiedy chce pracować, jeżeli nie posiada jednego z tych instrumentów do pracy i produkcji, jakimi są ziemia, albo kapitał? Co pocznie ten, który pracy dzisiaj nie znajduje? Pójdzie ryby łowić na wędkę? I w tym przecie wypadku potrzebna jest wędka, która jest początkiem kapitału; pójdzie szukać konwalji w lesie, aby ją sprzedać? Albo będzie czekał przy dworcu kolei żelaznej na podróżnych, którzy mu powierzą walizki swoje? Albo będzie czekał, jak to ma miejsce w Paryżu, przy wejściach do teatru, ażeby otwierać drzwiczki u nadjeżdżających powozów bogaczy? Wszystko to nie jest więcej pracą, są to formy żebraniny. Pracę dać może tylko kapitalista.

Zastanówmy się, ile jest dziwnego w wyrazach „dawać pracę“? Zauważmy, że często bardzo słyszemy na ulicy jak mówią nieszczęśliwi: „Ja nie chcę jałmużny, dajcie mi, panie, pracę“. Miałabyż praca, która, jak się zdaje, jest nietylko możliwością, ale i obowiązkiem dla każdego człowieka, zależeć od pozwolenia bliźniego? Można pracować nie inaczej, jak tylko znajdując właściciela albo kapitalistę, który stworzy nam warunki pracy; w przeciwnym

razie robotnik staje się bezrobotnym. W czasach, o których mówiliśmy wyżej, w czasach średniowiecza, kiedy wszyscy niemal robotnicy pracowali w charakterze uczniów, następnie czeladników, wreszcie w charakterze majstrów, w czasach, kiedy różnice dzisiejsze klas były tylko różnicami w stopniu, albowiem zawsze można było wznosić się na stopień wyższy i najwyższy, w tych czasach robotnik mógł mieć nadzieję, że zczasem sam zostanie kapitalistą i właścicielem. Dlatego w owych czasach wyraz przerażająco pyszny: „dawać pracę“ nie raził nikogo. Nie raził robotników samych w ciągu stuleci; uważali, że wyrazy te odpowiadają prawdzie; pracę dawał dziedzic; wyraz ten jeszcze i dzisiaj stosowany jest na wsi i stosowany bez gniewu i nienawiści. Dziedzic może być i dobroczyńcą, ile że stwarza możliwość pracy, możliwość zdobywania środków utrzymania. Zali forma ta, forma najwyższa pomocy, jaką bogacz może dawać biednemu, forma, którą polecają zarówno ekonomiści, jak i moralisci, nie jest tą właśnie formą, a o ileż wyższą od jałmużny? Tylko, że nadeszła tragiczna godzina, w której, w świadomości mas pracujących, obudziło się podejrzenie. Masy zaczęły pytać: zali naprawdę właściciel sprawia, że znajdujemy środki do życia? Zali nie my raczej sprawiamy, że on żyć może? A jeżeli tak jest, jakże on może być dobroczyńcą, kiedy jest tylko wyzyskiwaczem? W dniu, w którym myśl taka narodziła się w głowach mas pracujących, przyszedł na świat socjalizm.

Jeżeli kapitalista może powiedzieć, że daje pracę robotnikowi, robotnik może odpowiedzieć, że on daje kapitaliście owoc swojej pracy i że wzamian za tę pracę otrzymuje część zaledwie tych owoców, część mniejszą w postaci płacy roboczej. Prawda, że płaca, jaką otrzymuje najemnik, stanowi część kapitału już istniejącego, ale jest to tylko antycypacja zysków, które w ostatecznym rachunku otrzyma właściciel kapitału; robotnik, otrzymując płacę swoją, zrzeka się wszelkiego prawa do owoców, jakie praca jego daje i jakie przez właściciela spieniężone zostaną. Jest to, coprawda, nie bez korzyści dla robotnika, ile że otrzymuje wynagrodzenie swoje w gotówce, nie ma bowiem czasu czekać aż fabrykant sprzeda to, co on wyprodukuje, ale jednocześnie jest rzeczą oczywistą, że godząc się na taki sposób wynagrodzenia, wyrzeka się praw do tego co może mu się należeć. Nie wie, jaka będzie wartość jego dzieła, w szczególności gdy chodzi o pracę zbiorową, w której nikt nie potrafi części swojej rozpoznać. W rzeczy samej wiadomo, że cena najmu pracy, jaką jest płaca najemna, nie jest nawet przedmiotem targu: jest to cena stała, można zgodzić się na nią, albo jej nie przyjąć, tak jak to bywa w wielkich magazynach, w których „niema targu“; zachodzi tu jednak różnica, że kupujący w wielkim magazynie może kupić, albo i nie kupić, podczas gdy robotnik musi pracę swoją sprzedać w tym nawet wypadku, kiedy uważa, że cena jego pracy jest zbyt mała. Z chwilą dopiero, gdy zorganizowały się związki

zawodowe kwestja płacy najemnej stała się przedmiotem sporów i targów. Dlatego w toku dziejów można było widzieć, jak płaca za pracę spadała do poziomu tak niskiego, poniżej którego robotnik nie mógłby żyć ani odżywiać się, poniżej którego praca najemna musiałaby zniknąć zupełnie. Tak było przed wojną w tych dziedzinach pracy ludzkiej, w których robotnicy, a w szczególności kobiety, zgoła nieorganizowane, musieli godzić się na każdą ofiarowaną im cenę, mianowicie w pracy chałupniczej.

Położenie robotników tych uległo szczęśliwej niejako zmianie, nietylko dlatego, że organizacja zawodowa i groźba strajku oddziaływały potężnie na wysokość płacy najemnej, ale także należy to podkreślić z uczuciem radości, że w wielkich krajach przemysłowych zrozumiano, że niesposób jest zdobyć wielkiej wydajności pracy, jeżeli robotnik jest źle opłacany, i że część produktu surowego, ofiarowywana pracy w charakterze płacy, może wzrastać coraz bardziej, a część otrzymywana przez właściciela tytułem zysku nie będzie przez to ulegała zmniejszeniu; przeciwnie, obserwacja dowodzi, że właściciel fabryki tylko dobrze na tym wzroście płacy roboczej wychodzi.

Zysk. Jeżeli łatwo jest wytłumaczyć istotę płacy najemnej, jest rzeczą trochę trudniejszą wytłumaczyć zasady zysku. Co to jest właściwie zysk? Najmniejszy sklepikarz odpowie: jest to różnica jaką otrzymujemy, jeżeli odejmiemy cenę sprzedażną od ceny kupnej każdego przedmiotu. Sklepikarz zapła-

cił za towar sto złotych, sprzedał go za sto osiemdziesiąt: zysk jego wynosi osiemdziesiąt złotych. Pomimo to, pomimo, że sprawa ta wydaje się na pozór tak prostą, ściśle określenie zysku jest jednym z najcięższych zagadnień nauki ekonomicznej. Pragnąc zagadnienie to wyjaśnić, a także usprawiedliwić zasadę zysku, twierdzą, że zysk jest to odszkოდowanie za kierowanie przedsiębiorstwem, że jest to procent od kapitału włożonego w przedsiębiorstwo, że jest to wreszcie premja asekuracyjna, zabezpieczająca od możliwości straty. Twierdzimy, że żaden z tych momentów, z tych czynników nie stanowi o zysku, ile że w dobrze prowadzonej buchalterji trzy te czynniki znajdują swoje uwzględnienie w cenie wyprodukowanego towaru brutto. Jakże to bywa we wszystkich przedsiębiorstwach zorganizowanych, jako spółki akcyjne? W spółkach tych w rubryce wydatków znajdujemy: płacę dyrektora, odsetek od kapitału (nietylko od obligacyj, ale i od akcyj), wreszcie sumy, które się odpisuje do oszczędności rezerwowych, przeznaczonych jako zabezpieczenie od możliwości strat w przyszłości. Tak jest, a w takim razie dywidenda, która bywa rozdzielana pomiędzy właścicieli (akcjonariuszy), po zaspokojeniu wszystkich tych wydatków, będzie właśnie zyskiem w postaci czystej, zupełnie niezależnej od czynników wymienionych wyżej, a jeżeli jej nie będzie, powiemy nie bez słuszności, że przedsiębiorstwo nie dało zysków, i właściciele rok taki bez zysków oznaczą w kalendarzu przedsiębiorstwa czarnym krzyżykiem.

Jeżeli tedy zysk nie może być wytłumaczony przy pomocy żadnego z zaznaczonych powyżej momentów (praca dyrektora, procent od kapitału, ryzyko), jakże go wytłumaczyć? Skąd pochodzi? Socjaliści mówią: zysk jest pro prostu kwotą pobieraną z zarobku robotnika, któremu właściciel nie zapłacił tego, co mu się należało. Kooperatyści mówią: zysk jest kwotą, którą płaci spożywca; spożywca mianowicie płaci więcej, niżby zapłacić był powinien. Inni wreszcie ekonomiści, bardziej wyrozumiali, twierdzą, że zysk jest wynikiem zbiegu szczęśliwych okoliczności, które pozwoliły producentowi, albo kupcowi wyrabiać albo sprzedawać w warunkach szczęśliwszych, niż to czynił ich współzawodnik. Tak bywa w wypadku, kiedy właściciel ziemski posiada ziemię bardziej urodzajną od innych, albo posiada dom, zbudowany w dzielnicy, w której cena komornego jest wyższa, niż gdzieindziej. Zysk jest to „szczęście“, szczęście, jakiego zaznaje chłopiec sprzedający dzienniki w chwili, kiedy zdarzyła się jakaś nadzwyczajna katastrofa, która podnieca ciekawość przechodniów i niewoli ich do kupowania dziennika w większej, niż zazwyczaj ilości; szczęście, jakie spływa na właściciela kopalni nafty albo węgla w chwili, gdy udało się odkryć nowy nafto- czyli złotodajny szyb. Szekspir mówi, że w sprawach ludzkich istnieje przypływ, który prowadzi do bogactwa. Nikt lepiej nie określił istoty zysku. Prawda, że trzeba umieć pochwycić moment tego przypływu. Talent ten nie jest dany każdemu

człowiekowi. Jakąkolwiek z tych trzech definicij wybralibyśmy, jako bardziej nas przekonywającą, w każdej zysk, dywidenda, nie są przedstawiane jako owoc pracy; jest to, jak mówią Anglicy, „nadwartość niezarobiona“. Nie znaczy to, aby trzeba było uważać ją jako kradzież; skorzystać z dobrej okazji nie znaczy to jeszcze ukraść. Życie stałoby się bardzo mdłym, gdyby usunąć z niego wszystko, co jest „szczęściem“, albo i „brakiem szczęścia“.

Jeżeli jednak wprowadzimy zasadę powodzenia do wyjaśnienia zjawisk ekonomicznych, trzeba by w każdym razie, ażeby szanse były równe dla wszystkich. Jeżeli ludzie nie są w stanie żądać równości w podziale dóbr, mają prawo żądać przynajmniej zrównania szans życiowych: niechaj każdy, pracując, oszczędzając, budząc inicjatywę, ujawniając inteligencję, posiada szanse zdobycia najwyższych szczytów powodzenia, jak to bywa naprzykład w życiu politycznym! Amerykanie domagają się, aby człowiek miał powodzenie „raz chociażby w życiu“. Czytałem w pewnej książce amerykańskiej o napisie umieszczonym na tabliczce, znajdującej się na trawniku świeżo zasianym: „Użycz trawie tej powodzenia“. Co oczywiście miało znaczyć: „Nie chodź po tym gazonie“.

Jest rzeczą ciekawą, że opinia publiczna, która z takim trudem godzi się na nierówność wtedy nawet, kiedy nierówność ta ma swoje źródło w majątku odziedziczonym po rodzicach, albo w majątku zdobytym w przemyśle, godzi się z łatwością z fak-

tem, że ten czy ów wygrywa wielki los na loterji. Kiedy czytamy w dziennikach, że ten czy ów wygrał wielki los na loterji (zdarzyło się, że w Hiszpanji ktoś wygrał na loterji siedem milionów), nie słychać głosu protestu, poprostu dzieje się tak dlatego, że kiedy chodzi o wielki los każdy mówi sobie: „Przecież i ja mógłbym wygrać“. I względ ten wystarcza, ażeby odpowiedzieć na zarzut, mający swoje źródło w popularnem pojmovaniu sprawiedliwości, zarzut, domagający się na każdym kroku: równości. Atoli szanse nie dla wszystkich są równe. Świat nie jest loterją, jest raczej polem wyścigowem, na którym ludzie, chcący grać i wygrywać, muszą mieć dobre wskazówki, a tylko bogacze, albo co najmniej ludzie wykształceni, ludzie czytający dzienniki finansowe, ludzie żyjący w środowiskach politycznych, ludzie odwiedzający przedpokoje ministrów, ludzie mający stosunki z bankami i bankierami mogą wiedzieć jaki numer wygra i na jaki trzeba stawiać, ażeby wygrać na pewno. Nieraz jesteśmy świadkami, że takie czy inne akcje naftowe wzrastają w cenie w dwójnasób i trójnasób w ciągu kilku miesięcy. Zali przypuszczacie, że poczciwy człowiek, który, odejmując sobie od ust, zaoszczędził trochę pieniędzy i pieniądze te umieścił w tych akcjach, będzie wiedział na czas, że poszły one w górę? Gdyby nawet wiedział, nie miałby odwagi oszczędności swojej zaryzykować. Ażeby móc ryzykować, trzeba mieć dużo pieniędzy!

Idźmy dalej. Przedsiębiorstwa, tak samo jak płaca najemna, mają swoją historję i odeszły już

dzisiaj oddawna od warunków, w których się znajdowały za czasów średniowiecza. Ażeby uprawić wielkie przestrzenie ziemi i zużytkować wielkie kapitały, kapitalista czuł się zmuszony odwołać się do pomocy i do pracy nie tylko kilku, ale setek tysięcy ludzi. Widzieliśmy i widzimy codziennie, jak powstają olbrzymie przedsiębiorstwa. Fabryki Renault w Paryżu liczą piętnaście tysięcy robotników. Krupp w Essen liczył sto tysięcy robotników. Francuska kolej żelazna Paryż—Marsylja [P.—L.—M.] sto siedemdziesiąt tysięcy kolejarzy. Nie tu koniec jeszcze; przedsiębiorstwo sięga dalej, nie jest to już dzisiaj jedno przedsiębiorstwo; wielka ilość takich przedsiębiorstw wiąże się dzisiaj w związki, noszące osławioną nazwę trustów. Są to prawdziwe armje przemysłowe, korpusy armji, na których czele znajdują się generałowie naczelni, którzy nie prowadzą technicznej strony przedsiębiorstw, a tylko kierują ich stroną finansową, mianowicie, prezesi rad naczelnych. Ci sami ludzie bywają jednocześnie prezesami rad w dziesięciu i dwudziestu wielkich związkach przedsiębiorstw, które obręczą swoich wpływów ogarniają cały przemysł danego kraju. Amerykanie dla określenia takich postaci wynaleźli wyraz „król przemysłowy“, „król nafty“, „król stali“, „król kolejowy“. Ewangeliczny setnik mówił: „Boże, jestem tylko małym oficerem, mało mam ludzi pod sobą, jednak gdy powiem do jednego: „idź!“ pójdzie, a gdy zawołam do drugiego: „chodź tu!“ przychodzi“. Dzisiaj setnicy kapitalizmu przewodzą tysiącom i tysiącom

ludzi; gdy wołają: „idź!” ludzie idą, a gdy wołają: „chodźcie tutaj!” ludzie przychodzą.

Łatwo zrozumieć, że w rękach takich ludzi gromadzą się kolosalne zyski. Jak wszystkie krople wody, gdy gromadzą się w jednym łożysku, tworzą olbrzymie rzeki. Widzimy, jak gromadzą się i rosną niesłychane majątki, nieznane aż do dni naszych, i których dochody wynoszą setki milionów, a których wartość obliczana bywa na miljardy. Rzecz oczywista, że nigdy praca osobista, ani oszczędność, stosowana w ciągu kilku pokoleń, nie mogłyby stworzyć majątków tak olbrzymich. Te olbrzymie przemysłowe stają się typowe dla okresu kapitalistycznego, tak jak niegdyś w prawięku, w ciepłym błocie pierwszych okresów istnienia ziemi, rodziły się mamuty i ichtjosaury, których szczątki można dzisiaj zrzadka oglądać w muzeach historii naturalnej. Jednak nie należy mówić o tych olbrzymach, że są „monstrualne”, że zagarniają majątek; w sensie naukowym są to tylko akumulatory bogactwa. Ześrodkowują w rękach swoich bogactwo, ale je rozdają. Porównano je do studni publicznych, które gromadzą wodę, ale ją wydają na zewnątrz. Można porównać je z większą słusnością do wysokich szczytów górskich, na których gromadzą się olbrzymie śniegi. Szczyty śniegów tych nie gromadzą dla siebie, ale toczą je w dół po zboczach gór, bądź dając życie energii elektrycznej, co olbrzymie oświetla miasta i w ruch wprowadza fabryki i koleje, albo też nawadnia ziemię i daje życie urodzajowi. W rzeczy

samej bogacze na najwyższych szczeblach powożenia nie użytkują pieniędzy swoich w sposób tak wulgarny, jak mali bogacze, albo jak powojenni paskarze. Rzadko się zdarza, aby zużywali olbrzymie majątki swoje dla osobistych przyjemności. Nie gromadzą miliardów dla siebie, nie gromadzą ich też dla dzieci swoich, zdarza się bowiem bardzo często, że synów swoich wydziedziczają. Carnegie uczył, że jest to wstydem dla człowieka bogatego pozostawić coś po śmierci. Pieniądze swoje umieszczał nietylko w przedsiębiorstwach, ale i w przeróżnych instytucjach dobroczynnych i naukowych. Za nim, obok niego szli inni. Carnegie i Rockefeller kosztem niezliczonych milionów zbudowali biblioteki ludowe, laboratorja, instytucje, mające służyć idei pokoju, organizowali walkę przeciwko gruźlicy i epidemjom i można sobie zadać pytanie, zali pod rządem socjalistycznym, albo i kooperatystycznym, byłoby rzeczą możliwą zastąpić tych „akumulatorów bogactwa“? Gdyby kapitalizm był tylko urządzeniem pasorzytniczym, oddawna już nie byłby istniał. Jeżeli wytrwał, to dlatego, że oddał niejakie usługi światu. Usługi niemałe: stworzył bowiem dzisiejszy świat ekonomiczny ze wszystkimi jego wadami, ze wszystkimi jego nadużyciami, ale stworzył nadmiar produktów i taniość produktów. I nie trzeba przypuszczać, że socjaliści nie poznają się na tem, co zdziałał kapitalizm, przynajmniej ci socjaliści, którzy dużo wiedzą. Wiedzą przedewszystkiem, że gdyby nie było kapitalizmu, nie byłoby i socjalizmu. Karol

*

Marks jest dalszym ciągiem Ricarda, a to samo sprawia, że kapitalizmowi należy się od socjalistów niejaka wdzięczność. Dlatego też nie mają wcale zamiaru rozwalać kapitalizmu, pragną tylko zastąpić w olbrzymim gmachu kapitalizmu — kapitalistów. Wyrazy „uprzemysłowiona nacjonalizacja“, formuła powtarzana ostatnio dosyć często przez francuską Konfederację Generalną Pracy, nie mają innego znaczenia. Trusty z ich całą organizacją maszynizmu, koncentracji, lokalizacji, całkowania, standaryzacji będą zachowane, a nawet rozszerzą jeszcze panowanie swoje. Tylko w przyszłych radach nadzorczych akcjonariusze kapitaliści zostaną zastąpieni przez przedstawicieli pracy i przez przedstawicieli spóżywców; tych ostatnich należy rozumieć w tym sensie, że są to ludzie, dla których przedsiębiorstwo pracuje, a którym nie zależy na tem, ażeby przedsiębiorstwo dawało dochody, ale aby produkowało możliwie tanio.

ROZDZIAŁ VII.

WSPÓŁZAWODNICTWO I WSPÓŁDZIAŁANIE.

Świat ekonomiczny, jaki widzimy, obdarzony cechami, któreśmy się starali wykryć (interes osobisty, jako motor; zysk, jako cel: rozbieżność między własnością a pracą, mająca swoje źródło w dziedziczeniu, w pożyczce procentowej, w rencie; podział klas, jako dzieło płacy najemnej, dzielącej kapitalistów i proletariuszów) nie wydaje się środowiskiem, w którymby mogła się urzeczywistnić *sprawiedliwość społeczna i pokój społeczny*. Jednak świat ten, mimo wszystko, poomacku posuwa się naprzód i niektórzy ekonomiści (przedewszystkiem ze szkoły liberalnej) wykazywali, że rozwija się lepiej niż to się wydaje na skutek tego, że rządzą nim pewne prawa przyrodzone, które w ostatecznym rezultacie składają się na dobro powszechne.

Oto streszczone w kilku słowach półtora wieku rozwoju myśli ekonomicznej, liberalnej i optymistycznej: 1) rządzi człowiekiem interes osobisty, który we wszystkich czynnościach gospodarczych pcha go w kierunku szukania największego zysku,

i to stanowi o jego nigdy nieustającej aktywności; 2) ale pogoń za zyskiem osobistym nie znajduje się bynajmniej w niezgodzie z interesem powszechności; przeciwnie: ona mianowicie zagrzewa każdego producenta do produkowania tych przedmiotów, które najłatwiej i najlepiej można sprzedać; pod rządem prawa popytu i podaży najlepszą cenę otrzymuje towar albo usługi, które są najbardziej pożądane, które są najbardziej pożyteczne w sensie gospodarczym tego wyrazu; stąd wniosek, że dzięki pożądaniu zysku bywają przedewszystkiem zaspokajane potrzeby najbardziej pilne; 3) prawda, że interes osobisty i pogoń za zyskiem mogłyby prowadzić do nadmiernych zysków i do wyzyskiwania spożywców, gdyby producent albo handlujący korzystali z monopolu (monos po grecku znaczy sam), atoli niebezpieczeństwo takie nie istnieje pod rządem wolnego współzawodnictwa. Współzawodnictwo wolne sprawia, że producent albo kupiec spotykają na rynku innych producentów, niemniej żądnych zysków i niemniej pragnących, niż on, sprzedać swoje towary. Muszą razem walczyć o klientów, a walka ta prowadzi z konieczności do zniżki cen i do zmniejszenia zysków i nacisk współzawodnictwa jest tak wielki, że nieraz zdarza się, że ceny sprzedażne spadają do poziomu kosztów produkcji; w tym wypadku zysk sprowadza się do zera—co oznacza, że wartość towaru określa się przez ilość pracy i kosztów, które pochłonęła, co jest przecież ideałem sprawiedliwości, który socjaliści i kooperatyści sta-

rają się urzeczywistnić przy pomocy systemów bardziej skomplikowanych i nierealnych.

Oto w jaki sposób, na skutek działania współzawodnictwa, interesy indywidualne biją jedne drugie, ceny sprowadzane bywają do ceny słusznej, a zyski stają się minimalne. Oto jak taniość i sprawiedliwość urzeczywistniają się jednocześnie i zasada „każdy dla siebie“ przeobraża się pomimowoli w zasadę „każdy dla wszystkich“.

Niewątpliwie obraz ten zawiera cząstkę prawdy. Obraz ten nieraz był malowany różowemi farbami przez ekonomistów, należących do tak zwanej szkoły liberalnej (Bastiat, Molinari, Yves-Guyot), jakżeby społeczeństwa ludzkie mogły istnieć, posiadając cechy, które staraliśmy się opisać, a które nie ulegają zmianom, gdyby nie było porządku przyrodzonego, który rządzi ich losem? W rozumowaniu tem jednak jest oczywiście także część złudzeń, ile że niezadowolenie mas nie zmniejsza się ani na chwilę i grozi Europie rewolucją.

Postarajmy się tedy wydobyć z dzisiejszego układu stosunków gospodarczych to, co powinno być zachowane, i odrzucmy to, co powinno być odrzucone. Przedewszystkiem byłoby śmiesznie, gdybyśmy gardzili zasadą korzyści osobistej, gdybyśmy ją nazywali tylko egoizmem i gdybyśmy przypuszczali, że można z łatwością zamienić ten motor pracy ludzkiej przez inny. Jest rzeczą przyrodzoną myśleć o sobie. Ewangelja nie mówi nam nic innego, gdy uczy: „Będziesz bliźniego swojego

kochał jak siebie samego“. Zamiast mówić o egoizmie można, jak mówią Anglicy, mówić o samopomocy. Wysiłek osobisty nie da się wyodrębnić z korzyści osobistej, nie należy gardzić egoizmem, który nazywa się samopomocą. Ironista niemiecki Henryk Heine pisze, mówiąc o przyjaciółach swoich: „Zarzucili mi dowodami uznania, powiedzieli, że będą się mną opiekować, ale pomimo całej ich protekcji i opieki byłbym umarł z głodu, gdyby pewien poczciwy człowiek nie ujął się mojej krzywdy. Ach ten poczciwiec! Dał mi jeść... Nigdy mu tego nie zapomnę, jakże żałuję, że nie mogę go ucałować. Niestety, nie mogę tego uczynić, albowiem tym znacnym człowiekiem byłem ja sam“. I socjaliści nie chcą, jakby można było przypuszczać, zastąpić interes osobisty interesem społecznym: chcą tylko przeszkodzić, aby interesy mas przynoszone były w ofierze interesom niewielkiej ilości obywateli, ponieważ zaś myślą, że własność indywidualna w wyniku swoim przeszkadza rozwojowi indywidualności (przynajmniej wtedy, kiedy dotyczy kapitałów i opiera się o płacę najemną), domagają się zniesienia tej własności, czyli, jak mówią, jej uspołecznienia. Jeżeli zgodzimy się na to, nie trzeba stąd wyprowadzać wniosku, że interes indywidualny obejmuje nieuniknione dążenie do zysku, nie trzeba przypuszczać, że usunięcie zasady zysku poprowadzi z konieczności do ustania wszelkiej pracy i wszelkiej inicjatywy. Zysk w rzeczy samej, w sensie jakiegoś mu przypisali, nie jest odszkodowaniem za istotną

pracę, ale tylko odszkodowaniem za szczęśliwe okoliczności, albo umiejętność przystosowywania się do nich. Byłoby to rzeczą niesłuszną i niesprawiedliwą oceną pracy ludzkiej wychodzić z założenia, że praca ta nie może mieć innych motorów, jak tylko pożądanie wygrania wielkiego losu.

Byłoby jeszcze większym błędem wychodzić z założenia, że pożądanie zysku znajduje się koniecznie w zgodzie z interesem powszechnym dlatego, że prawo popytu i podaży zapewnia największe zyski tym, którzy najlepiej służą potrzebom spożywcy. Nie, największe ceny (te mianowicie, które dają największe zyski) niekoniecznie są to ceny przedmiotów, które odpowiadają najpilniejszym potrzebom, są to te raczej, które czynią zadosyć pożądaniam, albo poprostu kaprysom niewielkiej ilości uprzywilejowanych, mogących płacić bez rachunku. Prawo popytu i podaży jest niewątpliwie prawem żelaznym i nie będzie mogło być wyeliminowane z życia, tak samo, jak nie będzie można wyeliminować z życia interesu osobistego, prawo to jednak nie posiada żadnego znaczenia moralnego, ani nie służy żadnej immanentnej celowości. Co zaś dotyczy dobroczynnego wpływu zysku, przyznajmy raczej, w ilu wypadkach przeszkadza on czynić zadosyć potrzebom zasadniczym, pierwszorzędnym. Zali trzeba przykładu? Jakaż w tej chwili potrzeba jest najbardziej paląca? Rzecz prosta potrzeba mieszkania, nietylko ze stanowiska interesu prywatnego, albowiem wiemy, że niema cierpienia okrutniejszego dla ojca rodziny,

obdarzonego licznymi dziećmi, niż brak mieszkania, albo możność zdobycia mieszkania za cenę dla niego niedostępną—ale i ze stanowiska interesu społecznego, ile że nagromadzenie tłumów ludzkich w mieszkaniach brudnych stwarza niebezpieczeństwo stałej zarazy, która grozi całej społeczności. I przed wojną potrzebie tej nie umiano w sposób wystarczający uczynić zadosyć; dzisiaj nie czyni się jej zadosyć w zupełności. Rodzina, licząca wiele dzieci, nie znajduje już dla siebie mieszkania w Paryżu. Kryje się tutaj nieszczęście tak tragiczne, że mogłoby ono usprawiedliwić — nawet rewolucją!

Co uczyniły interes osobisty i współzawodnictwo, ażeby zagadnienie to rozwiązać? Dlaczego przedsiębiorcy nie zbudowali wystarczającej ilości mieszkań w czasie, kiedy wyrzucali na rynek wszelkiego rodzaju towary zbytkowne? Oto poprostu dlatego, że przedsiębiorcy nie widzieli w budowaniu domów, w szczególności domów o tańszych mieszkaniach, dostatecznego dla siebie zysku. Jest to tak dalece prawdziwe, że trzeba było nawet przed wojną we wszystkich krajach budować domy przy pomocy państwa, albo przy pomocy towarzystw dobroczynnych i kooperatyw; łączna jednak inicjatywa tych wszystkich czynników nie potrafiła uczynić zadosyć tej potrzebie publicznej. A cóż dopiero dzisiaj? (P. wyżej rozdział V, str. 95).

Ileż możnaby tutaj przytoczyć innych przykładów! Czytałem, że na południowym wybrzeżu Francji wydarto z ziemi wszystkie drzewa oliwne, ażeby

ziemię te zamienić w plantacje róż, gwoździków i mimozy, dlatego, że hodowla kwiatów daje znacznie większe dochody, aniżeli produkcja oliwy. Było to przed wojną. Dziś ludzie żałują barbarzyństwa, którego stali się autorami, albowiem od wojny oliwa poszła znacznie więcej pod względem ceny w górę, niż kwiaty. Żałują za późno; drzewo oliwne każe znacznie dłużej czekać na owoce, aniżeli krzak róży. Ileż moglibyśmy w tem miejscu wymienić przemysłów szkodliwych, które ludzie uprawiają tylko z żądzy zysku; niewiele ich obchodzą istotne potrzeby kupujących; produkują alkohol, produkują literaturę pornograficzną. Ekonomiści mówią tak samo, jak mówią przedsiębiorcy tych nieciekawych przemysłów, że niema w tem ich winy, że nie są mōralistami i że raczej należy mieć żal do ludzi, którzy kupują ich towar. Niesposób przeczyć, rzecz prosta, że spożywca ponosi w tej sprawie część odpowiedzialności; starajmy się wychować spożywcę, należy jednak oświadczyć z całą szczerością, że producenci, pobudzeni żądzą zysku, odegrali w tej sprawie w stosunku do spożywcy rolę kusiciela, rolę szatana. Ofiarowali Ewie a także Adamowi jabłko osławione Pismem Świętym! Któż powołał do życia cudowne przedsiębiorstwo kłamstwa, które w postaci reklamy, ogłoszeń, afiszów, rzucając miljardy (koszty reklamy pochłaniają w Stanach Zjednoczonych miliard dolarów rocznie) w przedsiębiorstwo, które przecież nic innego nie ma na celu, jak tylko budzić w spożywcy sztuczne pożądanie?

Oczywiście żąda zysku. Rynek krajowy zarówno jak i międzynarodowy jest zawałony produktami nie tylko niepotrzebnymi, ale, co więcej, szkodliwymi, gromadzonemi przez przemysł na niekorzyść konsumenta: produkty te sprawiają, że istotne potrzeby człowieka nie znajdują zadosyćuczynienia.

A nawet w wypadkach, kiedy przedsiębiorcy czynią zadosyć naszym normalnym potrzebom, usługi ich są na każdym kroku paczone przez żądę zysku. Kupiec, chcąc prędzej zarobić, ma wybór pomiędzy dwoma prowadzącemi do tego celu sposobami: albo powiększa ceny towarów, albo też sprzedaje towar pod względem jakościowym gorszy. Bywa i tak, że pod wpływem żądy łatwego i szybkiego zysku stacza się po równi pochyłej podrabianych wiktuałów.

Co zaś dotyczy współzawodnictwa, o którym ekonomiści mówią, że jest „patronką rodzaju ludzkiego“, należałoby porozumieć się co do wartości tego wyrazu, albowiem obejmuje dwa różne znaczenia tego pojęcia. O ile przez wolne współzawodnictwo rozumiemy wolność pracy, wolność wymiany i transportów, wolność handlową pomiędzy wszystkimi krajami, w tych wypadkach dobroczynny wpływ współzawodnictwa nie może nie być stwierdzony i nie będzie przesadzony; w tym sensie współzawodnictwo jest niewątpliwie opiekunem spożywcy, a o ile przestaje działać, spozywca pierwszy odczuwa jego nieobecność, jak to się często zdarzało od czasu wojny. Współzawodnictwo atoli używane jest zazwyczaj w znaczeniu walki, walki gospodarczej,

walki o życie. Jeżeli o takie chodzi *współzawodnictwo*, nie powinniśmy pragnąć, ażeby ono utrzymało swoje panowanie w społeczeństwie normalnem, i mamy nadzieję, że zastąpi je z czasem pojęcie mu przeciwstawne, a mianowicie pojęcie *kooperacji* (dosłownie: *współdziałanie*). Pod tą postacią współzawodnictwo trwoni tylko siły i bogactwa, i jeżeli się niekiedy zdarza, że spożywca może korzystać z walki, którą prowadzą między sobą współzawodnicy, zdarza się to przypadkowo i na krótką tylko chwilę. Nie może on bowiem ująć przed niebezpieczeństwem jednej albo drugiej ewentualności: albo współzawodnicy, zmęczeni walką, pogodzą się na jego niekorzyść, to znaczy zawrą z sobą sojusz. Sojusz ten nosi nazwę trustu, albo kartelu, może też nie nosić żadnej nazwy, a polegać tylko na cichej zmowie wszystkich kupców handlujących w danem mieście, rzeźników, piekarzy, kupców kolonialnych, lekarzy i t. d., sojusz, który ustanawia te same dla całego miasta ceny, i staje się dzisiaj coraz częstszym, staje się nawet prawem powszechnem handlu. Kupiec, któryby sprzedawał po cenie niższej od tej, która obowiązuje jego współzawodników, zostałby zdyskwalifikowany, jakkolwiek nie byłby nawet związany żadną umową pisaną, ani żadną kaucją.

Albo też wojna będzie prowadzona bez litości; w tym wypadku współzawodnictwo doprowadzi do zdeptania i usunięcia mniejszych przez większych kupców, może nawet przez jednego tylko, który

roztyje się tak, jak szczur w klatce po tym, kiedy był pożar wszystkich braci swoich. Współzawodnictwo w tym wypadku nie jest już wyrazem zasady, o której mówi francuskie przysłowie: każdy dla siebie a Bóg dla wszystkich, ale raczej wyrazem zasady amerykańskiej: każdy dla siebie, a ostatni dla diabła.

W jednym i drugim wypadku i wobec każdej alternatywy jest rzeczą oczywistą, że współzawodnictwo między współzawodnikami znika i że opieka, jakiej się mógł być po niem spodziewać spożywca, zniknęła również. Taką jest prawda życia i ta prawda staje się powszechną w życiu dzisiejszem. Nie jest więc prawdą mówić, jakoby współzawodnictwo producentów sprowadzało na rynek olbrzymie bogactwo towarów, albowiem zdarza się często, że porozumienia producentów między sobą, a więcej jeszcze monopole, ograniczają systematycznie produkcję w celu podwyższenia cen, a przynajmniej w celu przeszkadzania ich zniżce. Nie znosząc zasady interesu osobistego, trzeba szukać czy w społeczeństwach ludzkich nie drzemia siły, któreby umiały, nie obdzierając go z jego zalet, przeszkadzać mu wtedy, gdy godzi w interes publiczny. Siła taka istnieje: nie urodziła się wczoraj, istniała zawsze, w rozwoju biologicznem istniała, zanim jeszcze indywiduum ludzkie zaznaczyło swoje istnienie: jest to kooperacja, jest to solidarność, jest to pomoc wzajemna.

Wróćmy na chwilę do punktu, z któregośmy wyszli, kiedy pytałem, co jest wspólnego między

ekonomją polityczną człowieka a ekonomją polityczną zwierzęcia? Odnależliśmy w świecie zwierzęcym załączki wszystkich wielkich praw ekonomicznych, mówiliśmy atoli tylko o ekonomji indywidualistycznej; żyją tam atoli załączki i ekonomji socjalistycznej w postaci stowarzyszeń. Nikt nie wątpi, że niektóre gatunki zwierząt dają nam pod tym względem wzory poprostu cudowne. Nie chcę mówić tylko o pszczołach, albo o mrówkach, które zawsze będą przedmiotem głębokich rozmyślań; istnieją atoli obok nich inne przykłady, które stanowią przedmiot studjów biologicznych, w szczególności w dziedzinie fauny morskiej. Kryje się tutaj tajemnica, ta mianowicie, że zasada wiązania się w gromady, społeczności istnieje prawie wyłącznie tylko wśród niższych gatunków zwierząt. W miarę jak zwierzę się rozwija, jak idzie w górę po drabinie istnienia biologicznego, zbliżając się do człowieka, społeczeństwo, gromada, związek znika. Jednak każde zwierzę jest w stosunku do swojego gatunku uspołecznione. Kto wie, czy stowarzyszenie nie istniało tak samo u ssaków i wśród innych gatunków zwierzęcych przed pojawieniem się człowieka i czy stowarzyszenia te nie zanikły właśnie pod wpływem człowieka? być może, możnaby wytłumaczyć to zjawisko w ten sposób, że i zwierzęta, najbardziej do nas zbliżone, były przedmiotem bratobójczego współzawodnictwa, były wymordowane, przeobrażone w niewolników, albo rozpędzone, i w tych warunkach wróciły one do indywidualizmu, jak to stało się z Czer-

wonoskórymi, albo z bobrami, które już prawie zupełnie przestały istnieć.

Jakkolwiek bądź, społeczeństwa zwierzęce, które istnieją jeszcze, dają nam przykład doskonały stosowania zasady: „każdy dla wszystkich“, o której mówiliśmy wyżej. Gdzie zasada ta została lepiej urzeczywistniona niż w ulu? Można powiedzieć, że w tym wypadku posunięta została za daleko; rój bowiem żyje dla pszczoły, ale zdaje się, że pszczoła nie ma żadnej racji istnienia jak tylko rój. Nie chcielibyśmy, ażeby w roju ludzkim człowiek żył tylko dla roju, trzeba przeciwnie, aby społeczność była środkiem kształtowania człowieka, kształtowania osobistości silnych i bogatych w każdym znaczeniu tego wyrazu, ekonomicznie i moralnie. Niewątpliwie indywidualności te staną się coraz bardziej zależne jedne od drugich. Zależność jednak nie oznacza pomniejszenia, ani zbiednienia w wypadku, kiedy jest wzajemna i kiedy każdy otrzymuje od bliźniego tyleż i więcej niż mu daje. Być może, że dlatego właśnie niema żadnego postępu w świecie pszczół, że w roju pszczoła jest najzupełniej oddana na ofiarę roju; odkąd znamy rój, pozostał on bez zmiany.

Państwo, gmina są to związki również przyrodzone, a także obowiązkowe w tym sensie, że mają swoje źródło w prostym zjawisku przebywania w tem samym miejscu. Tak też jest u zwierząt, które innych nie znają. Ludzie atoli znają inne jeszcze związki, związki mające swoje źródło w wyborze dowolnym; związki te wiążą tylko ludzi dobrej woli, mimo to

i te związki reprezentują interesy wyższe od interesów indywidualnych. Zdarza się, że i one, zupełnie, jak to bywa z sojuszami przemysłowemi, dają wyraz interesom indywidualnym, zastępując je interesami zawodowemi albo klasowemi, i w tych wypadkach znajdują się w walce z interesem publicznym. Jednak, jeżeli pozostawimy na stronie stowarzyszenia, których pole działania znajduje się poza granicami ekonomji politycznej (stowarzyszenia dobroczynne, naukowe, estetyczne, religijne, stowarzyszenia, nie mające charakteru zarobkowego), jeżeli zatrzymamy się na chwilę przy trzech typach stowarzyszeń o charakterze ekonomicznym, jakimi są: związek zawodowy, kooperatywa i stowarzyszenie wzajemnej pomocy, zauważymy, że każde z nich ma na celu walkę z nadużyciem, jakiemu może dać życie panowanie interesu indywidualnego; na tej drodze stowarzyszenie staje się organem interesu społecznego w takim samym znaczeniu jak państwo i o charakterze bardziej skutecznym niż państwo.

Kooperatywa (kooperatywa spożywcza, kredytowa, albo budowlana) nie pragnie znieść procentu od pożyczki, a tylko lichwę, nie słuszne odszkodowanie za pracę kierowniczą, ale tylko zysk, o ile ten ostatni nie jest niczem innym, jak tylko rezultatem monopolu, albo szczęśliwego zbiegu okoliczności. W ten sposób kooperatywa pragnie wyeliminować pasorzytnictwo i urzeczywistnić zasadę ceny sprawiedliwej.

Syndykat dąży do zniesienia płacy najemnej, rozumiejąc przez ten wyraz ustrój, w którym praca

znajduje się pod panowaniem kapitału, w którym praca jest tylko narzędziem produkcji, nie mającym udziału bezpośredniego w zarządzie przedsiębiorstwa, któremu służy, ani w jego zyskach.

Stowarzyszenie pomocy wzajemnej szuka sposobów zmniejszenia surowości dzisiejszego ustroju gospodarczego dla tych, którzy, przychodząc na świat, nie znaleźli kapitału w kołysce, ani nie potrafili go zebrać.

Rozwój coraz bardziej potężny świadomości społecznej, obok egoizmu indywidualnego, któremu ta świadomość społeczna zaczyna powoli przewodzić, jest jednym z pięknych obrazów historii. Znajduje sobie wyraz nie tylko w interwencji państwa, które przeszkadza nieokiełznanemu panowaniu interesu indywidualnego w jego dążeniach do opanowania interesu powszechnego, ale także we wszystkich indywidualnych poczynaniach, mających na celu dobro powszechne. Gdybyśmy chcieli wyłożyć szczegółowo cechy i życie tych instytucyj musielibyśmy wyjść poza koło ekonomji politycznej i przenieść się na teren ekonomji społecznej. Ta ostatnia pragnie walczyć z fatalizmem praw przyrodzonych. Jest to inna zgoła dziedzina *).

*) Porównaj książkę Karola Gide'a *Instytucje postępu społecznego*.



S P I S R Z E C Z Y.

ROZDZIAŁ I.

POTRZEBY I PRACA.

	Str.
Początki pojęć ekonomicznych u dzieci i zwierząt	5
Pierwsze potrzeby: Pierwsze rodzaje pracy. — Praca bez trudu	7
Pierwszy kapitał: Przywłaszczenie.—Oszczędność.—Narzę- dzia.—Wynałazek ognia	15

ROZDZIAŁ II.

WYMIANA I WARTOŚĆ.

Pochodzenie wymiany: Kradzież. — Trudności pierwszej wymiany. — Okoliczności sprzyjające wymianie. — Dar wzajemny	22
Wartość	31
Początki handlu: Rzemiosła. — Kupcy	34

ROZDZIAŁ III.

P I E N I Ą D Z.

Trudności wymiany: Królewskość złota. — Rozkład wy- miany pierwotnej na sprzedaż i kupno	38
Potęga magiczna pieniądza: Pieniądz jako gromadzieliel wartości. — Skarb. — Wolność od pracy. — Narzę- dzie sprawiedliwości. — Słuszna cena.	42
Co stanowi o wartości pieniądza?	53

ROZDZIAŁ IV.

WŁASNOŚĆ I SPADKOBRANIE.

Str.

Rozwój własności	58
Pierwsze przedmioty własności: Dom, ziemia. — Wielka własność. — Własność niematerjalna. — Papiery procentowe. — Książeczka czekowa	60
Przekazywanie własności: Dziedziczenie. — Własność chowana wraz z właścicielem. — Prawo testamentu. — Dziedziczenie rodzinne	68
Uspołecznienie własności: Obowiązki właściciela. — Wywłaszczenie. — Ograniczenie prawa własności. — Własność jako funkcja publiczna	72

ROZDZIAŁ V.

DZIERŻAWA I POŻYCZKA PROCENTOWA.

Dzierżawa: Jej pożytek. — Kwestja agrarna. — Dlaczego dzisiaj straciła na ostrości	79
Pożyczka procentowa: Jej pożytek. — Dlaczego bardziej wzgardzona niż dzierżawa. — Dlaczego jej historia jest taka tragiczna? — Dlaczego dzisiaj dłużnik i wierzyciel zmienili wzajemnie role?	85
Najem mieszkania	95
Rentjer. — Jego wspaniała przeszłość. — Jego smutna przyszłość	96

ROZDZIAŁ VI.

PRACA NAJEMNA I ZYSK.

Szczęście	99
Współdziałanie kapitału i pracy: Niewola, poddaństwo, początki pracy najemnej. — Kto z czego żyje. — Dlaczego płaca robocza idzie w górę?	102
Zysk. — Określenie. — Wytlumaczenie. — Udział szczęścia w zysku. — O nierówności szans życiowych	108

	Str.
Wielki przemysł: Trusty. — Gromadziciele bogactw . . .	113
„Uprzemysłowiona nacjonalizacja“	116

ROZDZIAŁ VII.

WSPÓŁZAWODNICTWO I WSPÓŁDZIAŁANIE.

Interes osobisty. — Prawo popytu i podaży. — Współzawodnictwo, jako opiekun spożywcy	117
Złudzenie ekonomistów co do dobroczynnych wpływów współzawodnictwa. — Co znaczy współzawodnictwo? — Wolność pracy, albo walka o życie. — Jak współzawodnictwo samo siebie znosi	125
Interes społeczny znajduje pomoc i opiekę w innym czynniku: Współdziałanie. — Społeczeństwa zwierzęce. — Związki wolne. — Ich postać trojaka	129

